

Marek Zabiciel

ZŁOTE
MYSLI

SŁODYCZE SUK CE SU

Jak zachować
harmonię w życiu
i osiągnąć spełnienie
we wszystkich
jego aspektach?

**DARMOWY
EBOOK**

Darmowa publikacja dostarczona przez

www.PatBank.pl - bank banków

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez Wydawcę. Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody wydawcy. Zabrania się jej odsprzedaży, zgodnie z regulaminem Wydawnictwa Złote Myśli.

© Copyright by Wydawnictwo Złote Myśli & Marek Zabiciel

rok 2010

Data: 22.02.2010

Tytuł: Słodczy sukcesu

Autor: Marek Zabiciel

Projekt okładki: Marzena Osuchowicz

Redakcja: Magda Wasilewska, Sylwia Fortuna

Skład: Marcin Górniakowski

Wydawnictwo Złote Myśli sp. z o.o.

ul. Daszyńskiego 5

44-100 Gliwice

WWW: www.ZloteMysli.pl

EMAIL: kontakt@zlotemysli.pl

Autor oraz Wydawnictwo „Złote Myśli” dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo „Złote Myśli” nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

All rights reserved.

Zawartość tej publikacji dedykuję Tomkowi Zborkowi.

SPIS TREŚCI

<u>ALTRUISTYCZNA DUCHOWOŚĆ</u>	5
<u>CZY TO W PORZĄDKU, ŻE ŻYCIE TRAKTUJE NAS NIE W PORZĄDKU?</u>	9
<u>CZYM JEST SUKCES?</u>	13
<u>HARTOWANIE STALI</u>	17
<u>NIE MA RZECZY NIEMOŻLIWYCH</u>	21
<u>POWIEDZ MI, CO JEST NIEMOŻLIWE – ZROBIĘ TO!</u>	24
<u>PRZYCIĄGANIE DOBROBYTU</u>	27
<u>STEP BY STEP</u>	31
<u>SUKCES JEST PRZEWIDYWALNY</u>	35
<u>SYNCHRONICZNOŚĆ</u>	38
<u>SZCZĘŚCIARZ</u>	43
<u>TU I TERAZ</u>	46
<u>WALKA O MARZENIA</u>	49
<u>WOLNOŚĆ</u>	52
<u>ŻYCIE NA KRAWĘDZI</u>	56

Altruistyczna duchowość

To, co dajesz, to wraca. Każdy człowiek, który zaczyna zgłębiać tajniki życia, czy to na poziomie fizycznym, czy energetycznym, powinien o tym wiedzieć. I teoretycznie wie. Większa ilość danego przez nas dobra, bezinteresowności powinna owocować i owocuje przyciąganiem do ich nadawcy kolejnej coraz to większej porcji okazji, możliwości i doświadczeń, dzięki którym wzniesie się on wyżej niezależnie od tego, czy mówimy o drabinie do kariery czy o wznoszeniu się w wymiarze duchowym. I takie sobie właśnie prawo działa niezależnie od tego, czy mamy świadomość jego istnienia czy nie.

Jednym z elementów, czy może synonimów działania w imię tej zasady, jest altruizm. Choć w swej istocie ma on być bezinteresowny, to jednak warto wiedzieć, w jaki sposób los odwdzięczy nam się za określony model postępowania. Altruizm pojmowany współcześnie rzadko kojarzy nam się z bezinteresownością. Najczęściej czegoś oczekujemy od kogoś, kto uzyskał nasze wsparcie, albo przynajmniej fundujemy sami sobie satysfakcję z dobrze wykonanego zadania, która staje się pożywieniem dla naszej egoistycznej natury. Nie zgłębiając się nadmiernie w kwestię osobistych korzyści z działań charytatywno-altruistycznych, pragnę poruszyć pewną uderzającą momentami niezgodność, którą można uchwycić bardzo często w bardzo wielu miejscach.

Ta niezgodność dotyczy tych z nas, którzy zdając sobie sprawę z działania takiego mechanizmu lub, co gorsze, sami lansując taki model, nie są spójni w swym postępowaniu, czyli mówiąc wprost — co innego mówią, a co innego robią.

Przypomina mi się w tym momencie taka sytuacja z mojego życia, kiedy spotkałem się z pewnym znajomym w celu omówienia spraw biznesowych i ten właśnie znajomy stwierdził na samym początku, że biznes polega przede wszystkim na zaufaniu, jakim mnie darzy. Aby sprawdzić, co tak naprawdę ten ktoś ma na myśli, poprosiłem go o pewną przysługę, która wymagała z jego strony — ustalmy — jedynie zaufania do mojej skromnej osoby. I czar prysł. Nie chodzi o to, bym miał do niego żal, nauczył mnie wszakże pewnej rzeczy. Należy być spójnym.

Kolejnym doświadczeniem na mojej skromnej drodze było nadmierne zaufanie w słowa kolejnego „mistrza”, który nauczył mnie tego, że nie należy rzucać słów, które nie pokrywają się z rzeczywistością przez nas kreowaną, na wiatr. Pisarz, do którego zwróciłem się z pewną prośbą, a dodać należy, że jest to światowy człowiek potężnego formatu, zostawił u mnie niezbyt dobre wspomnienie po deklaracji, która brzmiała, że pewnymi kwestiami zajmuje się osobiście. Kilkakrotnie odbijałem się jak piłka od przysłowiowej ściany, wierząc i próbując za wszelką cenę udowodnić, że ten człowiek mówił też do mnie. Niestety. Może mówił to do całego świata, ale na pewno nie do mnie.

Pomoc deklarowana przez określone jednostki w określonych sytuacjach jest często niczym innym tylko chowaniem się za parawanem, który ładnie wygląda. Deklarujemy chęć pomocy, ale kiedy przychodzi co do czego, chowamy głowę w piasek albo szukamy wymówek, które mają nas usprawiedliwić.

Nie inaczej ma się kwestia z przeróżnymi nauczycielami, przewodnikami czy dygnitarzami sfer religijnych i duchowych. Z jednej strony głoszą oni wszelkie hasła usprawiedliwiające i wspierające bezinteresowne działanie na rzecz drugiego człowieka, z drugiej strony sami żądają opłat, które w sposób jednoznaczny wskazują na jakąś nie-

spójność pomiędzy tym, co mówią, a co czynią. Oczywiście zawsze łątwo będzie wysunąć argument, że pobranie opłaty odcina dającego pomoc od obdarowanego energetycznie, czyli mówiąc kolokwialnie, energia pomiędzy dawcą a biorcą się wyrównuje. Ale nadmierne utożsamianie się z takim stylem działania zabija w nas wrażliwość na potrzebę rzeczywiście bezinteresownej pomocy wtedy, kiedy zaistnieje prawdziwa i uzasadniona potrzeba. Oczywiście wniosek, jaki się nasuwa, jest taki, że nie należy nadmiernie upraszczać pewnych schematów, przykładając je jedną miarę do każdego i zawsze.

Oczywiście największy skecz odgrywa się dopiero wtedy, kiedy ktoś deklarując wszem wobec swoją bezinteresowność, chęć niesienia pomocy, odwraca się plecami w momencie, kiedy dochodzi do sytuacji sprawdzającej jego prawdomówność.

Odbijając się wiele razy od różnych brzegów, byłem świadkiem i uczestnikiem wielu — z mojego punktu widzenia dziwnych — sytuacji. Człowiek, którego działalność powinna być ściśle związana z przekazywaniem wiedzy służącej potrzebującym, stwierdza, że uczestnictwo w jego zajęciach jest niemożliwe bez wcześniejszego uiszczenia opłaty. Inny człowiek deklarujący swoje zaangażowanie i wiarę w możliwości twórcze jednostki w momencie, kiedy prosi się go o pomoc, zachowuje się, jakby wcale nie rozumiał, że właśnie teraz następuje sytuacja, która ma na celu ustalenie spójności i wiarygodności jego słów. Oczywiście trudno jest i chyba nie odważyłbym się oceniać nikogo. To, co sugeruję, wskazuje tylko na pewną tendencję do tego, by stwierdzić, że coś z tym naszym altruizmem jest nie tak. Jeśli chodzi o moją skromną osobę, to nie pozostaje mi nic innego, jak tylko podziękować wszystkim tym, którzy uczyli mnie i uczą, jak robić nie należy, choć często — muszę się przyznać — wiąże się to z mało konstruktywnymi myślami, jakie wysyłam dookoła, analizując daną sytuację. Żeby nie równać całego tego niespójnego zachowania z linią demarkacyjną walczącego frontu, dodam, że mam świadomość

mość, że nic nie dzieje się bez przyczyny i może zagadnienie nie wymaga korekty w całym świecie, a jedynie w naszym własnym wnętrzu. Bo przecież jeśli coś nie dzieje się po naszej myśli, jeśli coś w konsekwencji nie wpływa na nas zbyt optymistycznie, to może znak, że zmiany wymaga nasz sposób działania. Może być i tak.

Jednak ponad wszelką wątpliwość pragnę stwierdzić, że słów nie należy rzucać na wiatr. Nie należy deklarować czegoś, czego nie jesteśmy w stanie spełnić. Lepiej przecież nie mówić nic. Lepiej milczeć. I w tym układzie milczenie jest złotem.

Czy to w porządku, że życie traktuje nas nie w porządku?

Wiele razy w ciągu naszego życia zdarza się tak, że, chcemy czy nie, przydarzają nam się historie, których wolelibyśmy uniknąć. W zależności od kontekstu są to sytuacje mało komfortowe, niewygodne lub bardzo drastyczne, zmieniające często nasz punkt widzenia określonego zagadnienia. Kiedy mają one charakter łagodny, mówimy o pechu, o tym, że nie mamy szczęścia, niejednokrotnie zrzucając całe zło, które doświadczamy, na los. Ale kiedy mamy do czynienia z tak drastycznymi sytuacjami, które kojarzymy niemalże z katastrofami, mówimy wtedy często o „totalnej klapie”. Wtedy cały świat wali nam się na głowę. Filozofia sukcesu nazywa te zjawiska „porażkami”. Biorąc pod uwagę fakt, że są to zjawiska nagminne, pojawiające się w naszym życiu bardzo często, właściwym chyba będzie zadanie sobie pytania, czy takie problemy, zdarzenia z kategorii nocnych koszmarów są nam potrzebne? A jeśli tak, to do czego? Jeśli wierzymy w Boga, który jako Architekt Wszechświata poukładał wszystko sprawiedliwie i odpowiednio, to przecież nasz ból odczuwany w trakcie sytuacji trudnych musi mieć jakiś głębszy sens. Otóż wydaje się właściwym w dalszym toku rozumowania dojście do wniosku, że jest w tym sens i to nie tak głęboko ukryty, jak można by się spodziewać.

Popatrzmy, co ma tu do powiedzenia wspomniana wcześniej filozofia sukcesu. Otóż mówi ona bez pardonowo, że każda porażka przybliży nas do upragnionego sukcesu. Pod warunkiem oczywiście, że umiemy uczyć się na błędach, wyciągając z nich wnioski. A zatem wszystko, co nam się przydarza, ma sens i jest nam potrzebne do tego, by uczynić postęp w swoim rozwoju. Często stawianie sobie celu przez ludzi jest utożsamiane wyłącznie z efektem końcowym, który ma przynieść spełnienie i zadowolenie. Ale życie inaczej to trochę zorga-

Czy to w porządku, że życie traktuje nas nie w porządku?

nizowało, bo podczas dochodzenia do obranego przez nas celu spotkania nas wiele „niewygód”, które mają nas dostroić do obiektu naszego pragnienia, tak by zaistniał on w naszym życiu na płaszczyźnie fizycznej. I dlatego właśnie ważniejsze od realizacji celu jest to, kim się staniemy podczas procesu dochodzenia do niego. Przedsiębiorca chcący zbudować potężną i solidną firmę dostanie tyle lekcji i tyle przeszkód do pokonania, by po ich przejściu jego wizja stała się rzeczywistością. Sportowiec, który pragnie zdobyć medal na olimpiadzie, będzie musiał wiele godzin spędzić na treningu, wylewając jednocześnie wiele wiader potu. Ale zarówno sukces firmy, jak i zdobycie złotego medalu będą możliwe tylko wtedy, gdy przeszkody i ból pojawiające się na drodze realizującego swoje pragnienia człowieka nie pokonają go. Ważne jest to, czy się nie podda.

To nic innego jak ból, czy raczej jego zniesienie, czyni nas godnymi osiągnięcia naszych marzeń. Nawet jeśli ktoś nie ma w zwyczaju stawiania sobie celów (a takich ludzi na nieszczęście jest cała masa) i żyje z dnia na dzień, musi przerabiać swoje trudne lekcje. Dzieje się tak dlatego, że zdając sobie sprawę z tego faktu, nie każdy z nas planuje, co ma osiągnąć poprzez swoje postawy, myśli, wypowiedziane słowa i pragnienia. Jeśli cele zapisujemy i definiujemy, to przynajmniej wiemy, dlaczego cierpimy, kiedy sytuacje są trudne. Jeśli nie zdajemy sobie sprawy z zasad, na jakich oparte jest nasze życie, to cierpimy i tak, z tym że wtedy winę za naszą sytuację zrzucamy na innych ludzi lub zwyczajnie na okoliczności.

Wiemy zatem już mniej więcej, dlaczego spotykają nas niemiłe z pozoru sytuacje. Można to podsumować jednym zdaniem, że nasze życie, którego podstawą istnienia jest rozwój, wykorzystuje najskuteczniejsze narzędzie do tego, by nas nauczyć, o co w nim chodzi. Nie jest ważne, czy nam się to podoba czy nie — tak już jest. A że ból związany z dyskomfortem jest dosyć skutecznym narzędziem, to i mamy życie, jakie mamy. Ale czy nie ma sposobu, by choć trochę tego dys-

Czy to w porządku, że życie traktuje nas nie w porządku?

komfortu spowodowanego trudnymi sytuacjami zamienić na przyjemność? Innymi słowy, możemy zadać sobie pytanie, czy jest sposób na to, by żyć lepiej? Otóż jest. Trzeba wyciągać odpowiednie wnioski z sytuacji, które nas spotykają, stosować się do wskazówek, jakie są nam udzielane przez zjawiska synchroniczne, Boga czy Anioła Stróża albo naszą intuicję — i wtedy powinno być nam łatwiej. I tak znowu pozostaje nam wrócić do wniosku, że jedynym rozwiązaniem na zmniejszenie bólu w naszym życiu lub przynajmniej jego zrozumienie jest samodoskonalenie siebie, rozwój osobisty. Są tacy magicy, którzy twierdzą, że życie może być jednym wielkim szczęściem. Nie wydaje mi się jednak, by to szczęście permanentne, ciągłe, niezakłócanie różnymi niesfornymi bąkami można było osiągnąć w takiej formie, w jakiej żyjemy. Oczywiście naszym zadaniem jako jednostek ludzkich jest dążenie do doskonałości, ale... osiągnięcie jej w ciele fizycznym jest prawdopodobnie niemożliwe. Nie lubię używać słowa „niemożliwe”. I do tego nie jestem masochistą, którego fascynacją jest cierpienie. Wolałbym leżeć i patrzeć, jak rosną kwiaty. Nie lubię sytuacji stresowych, konfliktowych i nie skaczę do góry z radości, kiedy dostaję od życia kolejnego kopniaka. Ale pozwolę sobie powiedzieć, że jeśli dostaję po raz kolejny po głowie, to znaczy, że taka była potrzeba chwili. Wszystko dzieje się po to, by coś zrozumieć i w konsekwencji nauczyć się żyć lepiej.

Celowym wydaje mi się podkreślenie następujących zależności, które wiążą się z tym tematem. Im większe, bardziej ambitne cele, im bardziej ambitna i bezkompromisowa jest osoba, która do nich dąży, tym lekcje są cięższe, czyli więcej jest sytuacji, kiedy życie traktuje nas z pozoru nie w porządku. Z drugiej strony, jeśli mamy do czynienia z osobą bez ambicji, żyjącą z nastawieniem bylejakości i bezsensu, to życie również da mu popalić, próbując niejako wyrwać go ze stagnacji i marazmu. A zatem, czy nie lepiej polec na polu chwały, realizując coś naprawdę ekscytującego, zamiast zgnieć, będąc niezauważonym nawet przez samego siebie? Tej odpowiedzi powinien poszu-

Czy to w porządku, że życie traktuje nas nie w porządku?

kać każdy, kto chce się nazywać mianem myślącego człowieka. Bo przecież to nie zadanie filozofa. To według wszelkich mądrych pism ludzka powinność. Podobno Jung kiedyś powiedział coś w tym stylu, żeby najpierw żyć, a potem filozofować. Nie sądzę jednak, by chodziło mu o ilość przeżytych lat, ale o ilość i intensywność doświadczeń, zwłaszcza w sferze psychiki, analizy i ducha. Im więcej sytuacji nieprzyjemnych, tym więcej materiału do przerobienia i do przemyślenia, choć z drugiej strony życzę wszystkim samych wspaniałych i radosnych chwil.

Jeżeli ktoś jest zdania, że życie nie jest w porządku, to będzie miał problem dopóty, dopóki nie zrozumie, że jest dokładnie na odwrót. Życie jest w porządku, nawet jeśli czasem z pozoru wydaje nam się, że traktuje nas nie w porządku.

Czym jest sukces?

Rozmawiając, słuchając, myśląc na temat sukcesu, rzadko zastanawiamy się, czym on jest w swojej istocie. Sukces to słowo modne. Słyszymy o sukcesach na różnych polach działania. Słowem „sukces” nazywane są czasopisma. Z samym sukcesem utożsamiamy tak zwanych ludzi sukcesu. Są to najczęściej ludzie z pierwszych stron gazet. Aktorzy, piosenkarze, czasem artyści, często sportowcy i biznesmeni. To ci ludzie, którym — patrząc z zewnątrz — w życiu się powiodło. Jak mierzymy to, czy ludziom się w życiu powiodło? Najczęściej pieniędzmi. I tu jest pierwsza rozbieżność pomiędzy tym, czym jest prawdziwy sukces, a tym, w jaki sposób go pojmujemy. Mówimy: „On to ma szczęście. Powiodło mu się. Odniósł sukces.” Dlaczego? Bo jest bogaty. Czy bogactwo w formie posiadania pieniędzy jest wyznacznikiem Sukcesu przez duże „S”? Przyjrzyjmy się zatem, co o samym słowie „sukces” mają do powiedzenia źródła nazywane i pojmowane przez nas jako autorytatywne. Sukces (wg *Słownika Współczesnego Języka Polskiego* przygotowanego dla „Reader’s Digest Przegąd” przez zespół redakcyjny wydawnictwa Wilga 1996) to ‘spełnione zamierzenie, pomyślny wynik jakiegoś przedsięwzięcia’. Życiowy sukces. Osiągnąć sukcesy. Człowiek sukcesu. Sukces sportowy, artystyczny. No i mamy definicję. Co zatem z niej wynika? Otóż wyraźnie zaznacza się tu różnica pomiędzy dwoma rzeczami. Po pierwsze sukces traktowany jednostkowo jako wynik określonego zamierzenia, a po drugie sukces w skali globalnej jako życiowy sukces. Czyli mówiąc inaczej, jeśli planujemy określony rezultat naszych działań i jego końcowy efekt jest zgodny z zamierzeniem, to osiągnęliśmy sukces. Zgoda. Czy jednak wtedy możemy powiedzieć, że jesteśmy ludźmi sukcesu, czy tylko odnieśliśmy jednorazowy sukces na określonym polu działania i jest on ściśle związany z pewnym określonym działaniem? Żebyśmy nie zabrnęli zbyt daleko w gąszcz filozoficz-

nych rozważań dotyczących wyłącznie teoretycznych analiz, które mogą nas doprowadzić do pytania w stylu: „co było pierwsze — jajko czy kura”, proponuję następujące podejście do tematu. Sukces jednorazowy, dotyczący określonego działania, czyli załatwienie według naszego wyobrażenia jednej kwestii, jednego problemu naszego życia możemy nazwać sukcesem. Ale żeby kogoś można było nazwać człowiekiem sukcesu, nie wystarczy udany jednorazowy strzał w dziesiątkę. Człowiek sukcesu to ktoś, kto zachowuje harmonię w swoim życiu i osiąga spełnienie we wszystkich jego aspektach. Bo czy można powiedzieć o ciele człowieka, że jest zdrowe, jeśli zdrowe są ręce, a chore nogi? Czy jeśli ktoś osiąga spełnienie w sferze materialnej swojego życia, a sfera emocjonalna i związki partnerskie są pogorzeliściem i miejscem nieustannej destabilizacji i walki kończącej się niepowodzeniami, to można takiego kogoś nazwać człowiekiem sukcesu? Nie sądzę. Pewnie można by było tak stwierdzić, gdyby nie fakt, że człowiek (nawet ten pojedynczy i unikalny jak Ty i ja) to suma pewnych części. I pewnie dlatego nasze życie składa się z różnych dziedzin, a dopiero sprawnie działająca i sumująca się całość tworzy człowieka kompletnego.

Wracając jednak do naszego tematu, warto zwrócić uwagę na fakt, że sukces życiowy, ten przez duże „S”, ten, który pretenduje nas do miana Człowieka Sukcesu, będzie się składał z tych „małych” sukcesów dotyczących zadań przed nami stojących. Jeśli zatem wszystko jest takie proste (bo w swej istocie to jest proste), to dlaczego jest wokół nas tak mało ludzi sukcesu? Dlaczego większość z nas nie zasługuje na takie miano? Mam nadzieję i wierzę w to, że będą nas miliony. Ale zanim to się stanie, musimy zrozumieć i zaakceptować kilka zależności. Przede wszystkim osiągnięcie sukcesu w określonej dziedzinie jest proste. Dlaczego? Bo jeśli nasza koncentracja uwagi, myślenie i działanie skupia się na jednej sprawie, to łatwiej ją osiągamy, niż wtedy, kiedy nasza uwaga jest podzielona na wiele elementów. Stanie się człowiekiem sukcesu jest dlatego tak bardzo trudne, że wyma-

ga w miarę równego podziału uwagi i zaangażowania w różne sfery życia. Oglądając się dookoła, patrząc na to, jacy ludzie nas otaczają, można bez trudu wskazać wielu takich, którzy osiągając spełnienie w jednej, określonej kwestii, zawalili sprawę w innej. Sprawa jest prosta. Nadmierne zaangażowanie w jedną sferę życia uruchamia mechanizm dochodzenia w niej do perfekcji, powodując jednocześnie stanie w miejscu lub cofanie się w innej (jak wiemy, stanie w miejscu jest równe cofaniu się). I nie ma możliwości, aby osiągnąć to permanentne szczęście, o którym tylko marzymy. Nie może zaistnieć równowaga i harmonia gwarantująca nam, jak już wspomniałem, poczucie spełnienia i satysfakcji, czyli szeroko rozumiane szczęście. Oczywiście są i zwolennicy teorii, że tylko osiągnięcie stanu Wiecznego Bytu zagwarantuje nam uczucie szczęścia, którego szukamy. Pewnie to i prawda, ale zanim będziemy gotowi zagłębić się w tajniki medytacji transcendentalnej czy szeroko rozumianego życia duchowego, nie pozostaje nic innego jak tylko zacząć zamiatać swoje emocjonalne podwórko. A możemy to zrobić, równoważąc zaangażowanie w różne dziedziny życia. Jakie to dziedziny, zależeć będzie od indywidualnego podejścia do życia, od światopoglądu, kultury, w której jesteśmy wychowani, oraz od wielu czynników, które ukształtowały nas jako osobę. Obserwując jednak to, co się wokół dzieje, dosyć ciekawą, a zarazem wartą uwagi jest sugestia, że można nasze życie podzielić na następujące dziedziny: sprawy osobiste, rodzinę, życie duchowe, życie towarzyskie, finanse, pracę, działalność na rzecz innych ludzi, oraz zdrowie. Tak uważam i właśnie na tej koncepcji zbudowałem pewien schemat, który szeroko przedstawiam w moich książkach nazwanych Osobistym Programem Sukcesu.

Żeby jednak udało nam się zapanować nad wszystkim jednocześnie, potrzeba albo podzielić energię, którą eksploatujemy nadmiernie w jednej lub kilku dziedzinie, na wszystkie wyżej wymienione. A to nie należy do zadań łatwych, bo dotyczy przecież zmiany w nas samych, a ta, jak wiemy, jest jedną z najtrudniejszych w naszym życiu.

Warto również w tym miejscu nadmienić, że nasze zasoby energetyczne, które na planie fizycznym przejawiają się żywotnością, zainteresowaniem i w konsekwencji działaniem poprzedzonym decyzjami, są ograniczone wyłącznie tym, jakie znamy sposoby ich generowania, wytwarzania, czyli produkcji. A jest ich trochę. Od zdrowego trybu życia, dobrego odżywiania się, wnoszenia radości w życie innych, po techniki relaksacji, medytacji i modlitwy. „A co ma do tego wnoszenie radości w życie innych ludzi?” — mógłby ktoś pomyśleć. Otóż bardzo wiele, bo najczęściej pomoc komuś, ofiarowanie czegoś wprowadza nas w dobry nastrój, który jest niewątpliwym czynnikiem generującym siłę życiową.

Dla mnie sukces to styl życia, który prowadzi do osiągnięcia nieustannie powstających na nowo celów różnych dziedzin życia w taki sposób, by człowiek był stabilną zharmonizowaną jednostką emanującą radością, optymizmem i życzliwością wobec otoczenia oraz samego siebie. Taki stan prowadzi do poczucia szczęścia. I to właśnie szczęście jest wyznacznikiem tego, czy ktoś może otrzymać miano człowieka sukcesu. Czy jesteś szczęśliwy?

Hartowanie stali

Zdecydowałem się na nieco kaskaderski krok — na wyprodukowanie Sukcesu. Zdefiniowałem go na poziomie, według którego osiągnięcie tego, co pozornie niemożliwe, stanie się faktem. Nie próbowałem nawet zastanowić się nad tym, co jest możliwe, a co nie. Tak naprawdę nie zastanawiałem się nawet nad tym, czym jest ten Sukces dla mnie. Wyznaczyłem cele. I wyruszyłem w podróż, nie zdając sobie sprawy z tego, jak wiele będzie to mnie kosztowało. Kości zostały rzucone, gra się rozpoczęła. Pierwsze podjęte próby zakończyły się powodzeniem. Coś tam zagrało — to działa! I nawet nie było tak trudno. Kolejny krok to wytyczenie następnych szczytów do zdobycia. I nagle jak grom z jasnego nieba — porażka. Nie udało się. Zostałem odrzucony. To boli. Nie tak, żeby nie dało się wytrzymać, ale boli. Nie lubię bólu. Dążę do spełnienia — uciekam od bólu. Naczytałem się Anthony'ego Robbinsa, więc wiem, że to tak działa. Uciekam od bólu. Uciekając, stawiam sobie coraz większe cele, coraz poważniejsze, wszak przyjemność płynąca z ich realizacji ma rekompensować trud, znój i pot wyprodukowane na drodze do ich realizacji.

I znowu boli! Znowu porażka. Ból jest coraz większy i nie dziwi słońca trąba — mam swój rozum i wiem, że jeśli większy cel, to i porażka bardziej boli. Zaciskam zęby i idę do przodu. To nic, że boli, dam radę — jestem twardy. Jak mówi mój przyjaciel: „żelazo nie kłeka”. Przypominam sobie te słowa i te, że to, co nas nie zabije, to nas wzmocni. Jestem bohaterem. Nie takim z pierwszych stron kart historii, ale takim dla siebie. Pokonuję swoje słabości. Świat i tak kiedyś się o tym dowie. Wpiszą moje imię na wydrapywane paznokciami w skale miejsce. Dojdę tam. Nawet na kolanach.

Mija okres bliżej niesprecyzowanej podróży Słońca wokół Galaktyki. Jestem na swojej drodze. Pewne sprawy się poukładały, pewne rzeczy się zmieniły... na gorsze. Parę drobnych sukcesów przysłoniły chmury niepowodzeń. Znów poczucie odrzucenia i braku zrozumienia. Czy było warto? Patrzę w Niebo i pytam po raz kolejny, czy było warto? Gdybym wiedział o tym, że będzie tak ciężko wcześniej... no właśnie... co bym zrobił? Nie wyruszyłbym w tę podróż? Zaciskam zęby, a dziąsła krwawią. Zrobiłbym to samo. Zrobiłbym dokładnie to samo. Kończę kolejne piwo, dopalam ostatniego dzisiaj papierosa. Jutro będzie kolejny dzień. Lepszy. „Jutro będzie kolejny dzień z reszty mojego życia” — słyszę jak przez mgłę. Jutro będzie inaczej.

Wstaje jutro, a ja razem z nim. Czekam na cud. I wydarza się... tylko nie taki, na jaki czekałem. I znowu ból. Odrzucenie, porażka. Na Boga, kiedy w końcu ruszą dla mnie dni?

Mija kolejny szmat czasu. Kolejne cele, już po setnej analizie — te będą lepsze i te się szybko zrealizują. Tak bardzo pragnę ich realizacji. Pragnienie jest tym kluczem. Więc pragnę. I nagle jest już lepiej. Wydarzają się rzeczy, na które czekałem. No prawie, bo nagle w momencie, w którym wydawałoby się, że już wszystko pójdzie jak po maśle, pojawiają się nikomu niepotrzebne grudy. Kurwa mać! Mam tego dosyć! Płacę. Płacę łzami. A można płakać inaczej? Można. Zapewniam, że można. To płacz duszy i łzy są wtedy zbyt cenne.

Siadam na ławce w parku i myślę, co robię nie tak. Myślę, ile jeszcze razy będę musiał upaść i ile razy podnieść się po upadku, żeby móc stanąć i iść, później biec i w końcu lecieć!

„Krew, pot i łzy.” Tak, słyszałem, że tak trzeba. Jestem geniuszem, uzmysławiając sobie, że moje własne słowa brzmiały: „jeśli będzie trzeba, będę się czołgał po tłuczonym szkłe”. No i się czołgam, tylko nie wydawało mi się, że czołgając się po szkłe, trzeba będzie znosić

ból. Cóż za ignorancja! Nie umiałbym iść dalej, gdyby nie Ty. Błogosławię Twoje imię. Kocham Cię. Będziesz moją żoną. Zawsze byłaś.

Mijają lata. Porażka wtapia się w mój pejzaż jak mucha siadająca na gównie. Te małe porażki są już śmieszne. Ignoruję je. Te duże dają w kość. Bolą. Ale — o dziwo! Można się do tego bólu jakoś przyzwyczaić. Tylko żeby mieć siłę iść dalej. Albo żeby zrozumieć, że to, do czego się zmierza, nigdy nie istniało i że rację mieli ci, którzy zapewniali, że nie warto. Nie warto tak bardzo się kaleczyć, lepiej pomału, a najlepiej bezpiecznie, rozsądnie. Myślę o tym i jednocześnie proszę Boga o to, by nigdy, przenigdy nie pozwolił mi na utożsamienie się z przeciętnością, z miernotą, ze stagnacją. Może inaczej — by pomógł mi nie utożsamić się z nimi, z tymi dziewicami cefalizacji wstecznej. Wiem wszak, że piłka właściwie zawsze jest po mojej stronie i muszę działać, nie oglądając się na cuda. A może? Może, chociaż takie niewielkie, minimalne, Panie? Cisza. I cisza zaległa w Domu Bożym.

Pokonuję kolejne etapy, idąc do celu. Do celu prowadzą cele składające się z podceli tak, że już bokiem mi wychodzi słowo „cel”. Tym bardziej, że czuję się momentami jak Rocky Balboa okładany z każdej strony przez Apolla w pierwszych rundach walki. Myślę, kiedy przyjdzie ta ostatnia runda, w której powalę przeciwnika na dechy i zatriumfuję. Obolały, obity jak świnia maltretowana w rzeźni, ale z absolutnym poczuciem tego, że żyję. Nie zazdroszczę świniom w rzeźni. Może dlatego staram się nie zżerać ich mięcha.

Kolejne dni, lata, miesiące. Realizuję mój plan. Zaczynam działać jak robot, bezdusznie. Jak się uda — to dobrze, jak nie, to przecież i tak poradzę sobie i tak nic mnie nie złamie. Na horyzoncie widzę jaskółki. Zapowiadają wiosnę. Będzie dobrze, choć jeszcze jest całkiem do dupy. Ale tylko pozornie.

I nagle przychodzi na chwila. Ten dzień. To było wczoraj. Przychodzi kolejna odmowna odpowiedź. Moje starania spełzły na niczym, mój

plan legł w gruzach. A ja, co? Śmieję się! „Stop” — mówię do siebie. „Zwariowałaś? Kolejna porażka i to dosyć, wydawałoby, się poważna, a ty się śmiejesz?” Zglupiałem? Zamiast martwić się, że znowu ktoś mnie odrzucił, że ktoś nie chce pomóc mi w osiągnięciu tak upragnionego szczytu, staję i mówię: „I TAK OSIĄGNĘ CEL. I ZROBIĘ TO NA PEWNO. ZOSTANĘ GWIAZDĄ. BĘDĘ WIELKI — WIEM, ŻE TAK BĘDZIE.” I zrozumienie spływa na me lico, na mą duszę, na moją istotę jak leczniczy balsam na bolącą ranę. TO JEST ZWYCIĘSTWO! Teraz będzie już tylko lepiej. Zrozumiałem. Dojrzałem. Umieć poradzić sobie z porażką. Mało tego. PORAŻKA MNIE MOTYWUJE DO DZIAŁANIA! Tyle lat, tyle przeżytych doświadczeń, żeby nauczyć się działać według książkowego schematu, który mówi, że jeśli się coś rozsypało, to nie zwracaj na to uwagi i idź dalej. Nie pozwól na to, by coś mogło doprowadzić cię do smutku, do apatii, do zniechęcenia. Uczyń przeciwność losu paliwem do dalszego działania. Zrozumiałem i poczułem to, o czym wcześniej tylko czytałem.

Czym zatem jest to wszystko — te pasma niepowodzeń, te porażki, ten ból? Doświadczeniem pozwalającym stworzyć z chłopca — mężczyznę, z dziewczynki — kobietę, z giermka — wojownika. To błogosławieństwo. To narzędzie do tego, by z miękkiego materiału uczynić stal.

Nie ma rzeczy niemożliwych

Jestem pod wrażeniem. Jestem pod wrażeniem tego, co życie mi zsyła. Naprawdę zaczynam rozumieć, czym jest moc i potęga wiary, oczekiwania i nadziei. Jest jednak jeden warunek, by móc się tego doczekać. Trzeba pokonać. Trzeba pokonać siebie i swoje słabości.

Oglądając po raz kolejny film „Boska Interwencja”, rozumiem coraz więcej. Za każdym razem rozumiem coraz więcej. I w tym rozumieniu jest radość. Prawdziwa radość. Posłuchaj, co powiedział trener Taylor do swoich zawodników. Po prostu posłuchaj...

Za jakieś pięć minut wyjdziemy na rozgrzewkę.

Chcę powiedzieć dwie rzeczy.

Po pierwsze, kocham was i jestem z was dumny.

Nie zamieniłbym tego sezonu na nic w świecie.

Po drugie, zagrać z największą drużyną, z jaką kiedykolwiek się zmierzyliście.

Są silni, szybcy i niepokonani.

Jak dotąd.

Ale pamiętajcie, dokąd Bóg nas doprowadził.

Pamiętajcie, jak ciężko pracowaliście.

Nie mieliśmy mieć zwycięskiego sezonu, ale mamy.

Nie mieliśmy przejść do play-offów, ale przeszliśmy.

Nie mieliśmy tutaj być, ale jesteśmy.

Więc jeśli cokolwiek w was mówi, że szkoda waszego zachodu, odrzućcie to.

Bo kiedy tu stoję, wierzę, że jak długo czcimy Boga, nic nie jest niemożliwe.

Nie ma rzeczy niemożliwych

Nic.

Dajcie z siebie wszystko dla Boga.

Czy wygramy, czy nie, dostarczymy Bogu chwały.

A teraz...

Kto pójdzie ze mną walczyć z Olbrzymami?

Potężna moc drzemiąca w każdym z nas czeka na to, by ją obudzić. Tą mocą jest Bóg. Jest to ta część Jego, która czyni z nas jego dzieci. Obudzenie tej mocy jest możliwe dzięki prawdziwej wierze. Wiara w boską moc, która działa przez nas czyni z nas samych Gigantów. Nie musimy szukać daleko. Nie trzeba szukać niczego daleko, nie trzeba zagłębiać się specjalnie w treści ezoteryczne czy okultystyczne.

Ludzie pragną spełnienia. Pragną spełnienia marzeń, celów — dla siebie, dla bliskich, dla dzieci, rodziny, znajomych, na pokaz. A gdyby tak nieco zmienić adresata naszego życia? A gdyby zrobić tak samo jak główny bohater filmu „Boska Interwencja”? Gdyby wszystko, co tylko robimy, ofiarować Bogu? Co wtedy się stanie, jak zaczną się układać nasze sprawy? Jeśli założymy, że nieważne jest to, czy wygramy czy przegramy, a jedynie oddamy wszelki wynik naszych działań w Jego ręce, co się wtedy stanie? Jeśli niezależnie od tego, czy będzie nam dobrze czy źle, będziemy czcić Boga na swój sposób, chwając jego imię i to, co nam zsyła? Co się wtedy stanie?

Szukamy szczęścia, błędząc po życiowych zakrętach, nie dostrzegając, że cały potencjał może być uwolniony dzięki naszej postawie opartej na wierze w dobrego, kochającego Boga, który pomoże nam zawsze, czasem zsyłając deszcz i burze, tak byśmy wiedzieli, co robimy nie tak, a czasem pomagając świecić Słońcu, które dostarczy nam ciepła i światła.

„Z Bogiem nie ma rzeczy niemożliwych” — z tym przesłaniem ludzie nie tylko w filmach stają na szczycie świata. Pytanie tylko, czy chce-

Nie ma rzeczy niemożliwych

my w to uwierzyć. Odpowiedź na to pytanie zdefiniuje jednocześnie nasz osobisty poziom wiary. Jak jest silna, jak mocna. Jak mocni i silni potrafimy być my.

Każdy z nas walczy ze swoimi Olbrzymami, których musi pokonać na drodze do Sukcesu. Pokonanie ich graniczy czasem z cudem. Wierzę w cuda i dlatego doświadczam ich. Wierzę, że z Bogiem wszystko jest możliwe. Po prostu wierzę...

KAŻDE TCHNIENIE ŻYCIA MA SWĄ MOC

KAŻDA KROPLA ROSY MOŻE ZMIENIĆ CAŁY LOS...

(fragment piosenki *Wyślany list* zespołu P.T.M.)

Powiedz mi, co jest niemożliwe — zrobię to!

Ograniczanie horyzontów, czy to myślowych, czy fizycznych, to chleb powszedni mędrków, którzy wiedzą, czego nie da się zrobić. Rzesze zgorzkniałych i zrezygnowanych kombatantów w walce o lepsze jutro bez moralnego kręgosłupa lub z plecakiem żalu za pazuchą rwą się do tego, by dopasować innych jeszcze naiwnych i jeszcze gniewnych do swego poziomu.

„Po co pan to robi? Przecież to i tak nie ma sensu!” — słyszę i wzrasta mój poziom osobistej niebiesko-czerwonej adrenaliny. Płonę.

„A co ty wiesz o życiu, żeby decydować się na osiągnięcie takich rzeczy? Głupcze, wrócisz z podkulonym pod własny zad ogonem. Polegniesz!” — milknę.

Wstaje nowy dzień, a wraz z nim nowe możliwości otwierają bramy swoich warowni. Patrzę na Słońce — bez niego nie ma życia. Pytam: „Skąd bierzesz siłę?”, odpowiada: „Z Gwiazd”.

„Jak długo możesz świecić” — pytam już w myślach. Odpowiada mi, że zawsze. „A przecież ludzie mówią, że paliwa starczy ci na kilka milionów lat... czy miliardów.”

„Gównie wiedzą” — odpowiada Słońce. „Będę świeciło zawsze!”

I myślę. Dlaczego taka odpowiedź przyszła do mnie teraz i dlaczego takie właśnie, a nie inne pytanie zadałem?

Mam dosyć powtarzania, dlaczego jestem ograniczony. Mam dosyć wkładania we mnie rozmaitych bredni o tym, jak rozpadnie się świat moich osobistych marzeń. Chcę walczyć, nawet jeśli ta walka nie ma sensu. To walka o marzenia, o plany, o cele, o ich realizację. To walka z samym sobą — zawsze. Inni ludzie to tylko zwierciadło. W nich, poprzez nich widzę tak naprawdę, kim jestem. Oglądam się w ich przekonaniach jak w lustrze, które wskazuje mi dokładnie, co powinienem w sobie zmienić, nad czym pracować, czym się zająć. Ci ludzie to błogosławieństwo. To błogosławieństwo, które boli, które drażni, które uwiera jak pieprzony mały kamyczek w wygodnym komfortowym bucie. Uwiera!!! I chcąc nie chcąc muszę go usunąć albo przynajmniej coś z nim zrobić. Z nim albo ze mną. Albo on, albo ja. Razem nie możemy iść, nie możemy biec... ale możemy lecieć. Tak, możemy! Tylko latać trzeba się nauczyć, trzeba się tego „naumieć”.

No dobra — trochę „poimaginowaliśmy”. Do rzeczy — jak mawiam. Co jest niemożliwe? Czego nie da się rozłożyć i gdzie, czego nie da się założyć na drugą stronę i dlaczego? Mogę wszystko, mogę zamienić na dobro mój czas, to tak blisko, to takie łatwe, choć trudne to tak. Możesz wszystko. Naprawdę. Każda rzecz, każda myśl, która powstanie w tobie, może się zrealizować. Moc, która jest potrzeba do realizacji nawet z pozoru najbardziej trudnego zadania, jest w Tobie.

Richard Branson — niemożliwy facet — nadał tytuł swojej książce „Zaryzykuj. Zrób to!”. Praktyk, moi drodzy państwo. Praktyk, a nie t e o r e t y k . Ludzie, którzy wiedzą, jak — mówią o tym. Trzeba tylko słuchać, trzeba też, ma się rozumieć, uwierzyć, ale najpierw trzeba słuchać, a nie chować się w swojej skorupie.

Uwielbiam słowo „niemożliwe”. Co jest niemożliwe? Co dla ciebie jest niemożliwe? Co jest mało prawdopodobne? Przesiąknięty tematyką motywacyjną jestem skazany. Lansując własnym życiem pewne koncepcje i pewne rozwiązania, jestem skazany. Wiesz, na co? Na

Powiedz mi, co jest niemożliwe — zrobię to!

sukces! Jestem Skazany na Sukces. Posłuchaj. JESTEM SKAZANY NA SUKCES!

Wiesz dlaczego? Bo w moim słowniku nie ma słowa „niemożliwe”.

Pokaż mi, co jest niemożliwe. Powiedz mi, co jest niemożliwe, a zrobię to!

Powiesz, że nie zrobię wszystkiego. Zgoda. Nie zrobię wszystkiego. Wiesz dlaczego? Dlatego, że zrobię tylko to, czego chcę. Zrobię tylko to, czego naprawdę chcę. Powiesz: demagogia; powiesz: gra słów; powiesz: socjotechnika manipulacyjna, żeby udowodnić swoje racje. Być może...

Jeśli ktoś kiedykolwiek będzie chciał zdyskredytować twoje plany, ambicje, cele — nie daj się. Jeśli wyśmiać cię spróbuje — nie daj się. Jeśli wyśmieje twoje marzenia, nie bądź zły — wszak to ty sam zdecydowałeś o tym, by dobrać sobie takiego rozmówcę.

Pamiętaj, że możesz wszystko. Masz siłę. Wywieś na swoim balkonie sztandar z napisem: „Powiedz mi, co jest niemożliwe, a zrobię to!” i uwierz w niego. Możesz to zrobić. Jeśli chcesz. A teraz powiedz mi, czego chcesz?

Przyciąganie dobrobytu

Większość z nas marzy o szczęściu tak samo, jak pragnie zaspokojenia w sferze materialnej. I nie ma w tym nic dziwnego, zważywszy na fakt, że zewsząd otacza nas świat, który mamy swymi urokami, podsuwając nam coraz nowsze gadzety reklamowane jako niezbędne nam do życia. Już Oskar Wilde ponad sto lat temu doszedł do wniosku, że rzeczy zbędne stały się nam niezbędnie potrzebne. I tak trwa to do dnia dzisiejszego. Mówiąc o dobrobycie, trudno być jednoznacznie określonym, czym on jest dla każdego z nas z osobna. Ilu ludzi, tyle koncepcji; ile umysłów, tyle wyobrażeń na temat — wydałoby się — tej samej definicji. Jeśli jednak zdefiniujemy dobrobyt jako dostępne nam na każde zawołanie spełnienie naszych pragnień i zachcianek, to zasadnym wydaje się stwierdzenie, że będziemy już blisko ogólnego rozumienia tego zagadnienia. Dobrobyt możemy zdefiniować jako dobry byt. A dobry byt pewnie skojarzy nam się ze spełnieniem. Zatoczywszy koło nad tym niewątpliwie trudnym tematem, warto pomyśleć, że skoro większość z nas chciałaby lub przynajmniej zadeklaruje w ankiecie, że chce dobrobytu, to dobrze jest wiedzieć, jak go osiąść. Bo wszyscy, nawet najbardziej zagorzali sceptycy, pewnie przyznają mi rację, że nie chodzi tu o to, by zaspokoić się na chwilę. Chodzi o to, by dobrobyt spełnił oczekiwane i pokładane w nim nadzieje, dając nam jednocześnie... No właśnie. Czego oczekujemy od dobrobytu? Spełnienia zachcianek? Zgoda. Dobrego samopoczucia? Zgoda. Wygodnego życia? Zgoda. Czy czegoś jeszcze? Po co jest ci potrzebny dobrobyt? Jaką ma spełnić funkcje w twoim życiu? To ciekawe pytanie. Może nawet pionierskie. A już na pewno na tyle konstruktywne, by chwilę się zastanowić nad odpowiedzią na nie. Jeśli już dobrobyt stanie przed twoimi drzwiami, czy to pod postacią zakapturzonej fury pieniędzy, czy jako kapiącego od żarcia stołu, czy może jako kolejny model najnowszego zegarka, czy samocho-

du, to co mu powiesz? A pogadać będzie trzeba, bo masz jak w banku to, że zapyta, po co go wołałeś, człowieku! I nie jest to żadna przenośnia czy metafora. Życie przynosi nam przeróżne rozwiązania. Czasem da nam po głowie, czasem sypnie worem złota w taki sposób, że... no właśnie, że nie wiadomo, co z nim robić.

Jak wiadomo, jest coraz więcej metod na przyciąganie tego, czego pragniemy. Wie o nich garstka tych nielicznych szczęśliwców, którzy decydują się wyruszyć w kaskaderką podróż, by je odnaleźć, poznać i posiadać ich tajemnicę na zawsze. Ale tak samo jak znajomość mechanizmów nie zastąpi ciężkiej pracy związanej z umiejętnością zastosowania ich w praktyce, tak samo możemy być raczej pewni faktu, że jeśli ktoś nie zdecyduje się na zerwanie z komfortem osobistym, to nie pozna sekretów związanych z przyciąganiem obfitości i dobrobytu.

Teraz wypadaloby powiedzieć coś o samych sposobach przyciągania dobrostanu. Ale tu niestety rozczaruję cię, mówiąc całkiem niewiele w tej kwestii. Otóż sposób ten wygląda tak, że najpierw musisz wiedzieć, po co chcesz coś osiągnąć, a później zgodnie z Prawem Przyciągania poprosić o to, wyrażając w ten sposób swoją wolę i na koniec pozwolić, aby to do ciebie przyszło. Nic więcej nie trzeba robić. Czyżby było to takie proste? To jest proste, ale nie jest łatwe. Bo żeby pozwolić sobie na przyjscie do nas obiektu naszego pragnienia, niezależnie od tego, czy będzie to stan umysłu czy rzeczy natury materialnej, potrzebny jest czas, by stać się tego godnym. Co do samej kwestii proszenia już jest dużo wątpliwości, bo żyjemy wśród społeczeństwa, które samo, pędząc na oślep do przodu, narzuca nam myślenie mówiące o tym, że tylko ciężką pracą jesteśmy w stanie czegoś się dorobić. Coś absolutnie odwrotnego sugerują nam podręczniki mówiące, jak osiągnąć w życiu szczęście, bo tam wszystko zaczyna się od wyciszenia i od opanowania potoku własnych niekończących się myśli, które przeszkadzają nam w osiągnięciu obiektów naszych marzeń. Mówiąc krótko, sami stajemy na drodze własnemu szczęściu.

Warto tu przytoczyć słowa proroka: „Zaprawdę powiadam wam, że myślenie to najcięższa praca pod słońcem”. I tu zgadzamy się z tymi, którzy wyznają jedyny słuszny mit ciężkiej pracy.

Wracając do tematu naszego dobrobytu, jeśli chcesz zmienić samochód na lepszy, wystarczy o tym mocno pomyśleć, następnie pstryknąć palcami i pójść na spacer, nie myśląc, w jaki sposób Wszechświat spełni twoją prośbę. Dlaczego zatem tak trudno jest ludziom opływać w dostatek i dobrobyt? Powodów jest kilka. Podstawowym jest brak wiary w mechanizm przyciągania dobrobytu. Nie mieści się nam w głowie, że osiągnięcie czegokolwiek jest tak proste. Przecież życie, które dla nas jest prawdą, udowodniło nam już tyle razy, że żeby coś mieć, to trzeba napracować się po same pachy, a efekty i tak często są mizerne. Myśląc w ten sposób, pamiętajmy, że prawda to nic innego jak nasz sposób postrzegania świata, który przechowujemy w swojej podświadomości jako przekonania. Kolejnym powodem tego, że „to nie działa”, jest nieumiejętność pozostawienia wszystkiego, co jest związane z tematem sile wyższej. Najpierw może i poprosimy, ale później robimy wszystko, by samemu napisać scenariusz, w jaki sposób rzeczy mają się zdarzyć i, co najgorsze, kiedy ma to nastąpić. Nie do nas należy tu definiowanie, czy dobrobyt, którego pragniemy, jest gotowy, by nas odwiedzić już teraz. Trzecim fundamentalnym powodem rezygnacji z metod wpajanych nam przez tych, którzy przeszli już ten proces, jest niecierpliwość. „No czekam już trzy godziny i nic się nie dzieje.” Na podstawie takiej konkluzji definiujemy twierdzenie, że wszystko, co słyszeliśmy na temat Prawa Przyciągania czy innych metod gwarantujących życiowy sukces, to jedna wielka kupa bzdur. I wracamy do starych schematów, narzekając na swoje życie. Logicznie rzecz ujmując (tak, by empiryczny człowiek mógł chwilę zadumać się nad tą kwestią), nie sposób zmienić własny system myślenia, wiary i przekonania w ciągu kilku godzin, jeśli to, co wiemy, do tej pory utrzymywało się w nas od lat kilkunastu czy kilkudziesięciu! To tak samo, jakby ktoś uczył psa jeść na dźwięk dzwon-

ka, a później nagle wymagał, by ten sam pies na dźwięk dzwonka nie ślinił się!

Może na świecie są takie wróżki, elfy czy czarodzieje, którzy potrafią nagle wyczarować coś. Ale jest mało prawdopodobne, by mogli (nie mówiąc już o tym, czy by chcieli) nagle dokonać zmiany w myśleniu i to zarówno swoim, jak i cudzym. Jeśli zatem poważnie myślimy na temat dobrobytu, który na dzień dzisiejszy nie jest z nami w najlepszej komitywie, to chyba jedynym słusznym wnioskiem jest stwierdzenie, że czas zacząć nad sobą pracować. I tu pozwolę sobie na powiedzenie czegoś bardzo ważnego, jeśli nie najważniejszego. Nie szukaj sposobu na osiągnięcie dobrobytu. Tak jak zasugerowałem na początku — poszukaj odpowiedzi na pytanie, po co chcesz go osiągnąć. Jeśli twoje „po co” będzie wystarczająco silne, wartościowe i służące innym, to „jak” zjawi się samo i przyciągnie dobrobyt do twojego domu.

Jeśli ktoś więcej chce dowiedzieć się na temat Prawa Przyciągania, to zapraszam do lektury „Proś, a będzie Ci dane” Ester i Jerry'ego Hick-sów.

Step by step

Dochodzenie do celu bywa trudne. Jedną z metod osiągnięcia tego, co zamierzamy, jest sposób, który można nazwać metodą małych kroków. I przyznam się szczerze, że moja niecierpliwość, nad którą nieustannie pracuję, powoduje, że nie tylko nie stosowałem zbyt często tego rozwiązania, ale również nie traktowałem go zbyt poważnie. I może to jest świadectwo braku wykorzystania doświadczeń innych ludzi, a może to zwyczajna ignorancja — trudno jest mi to jednoznacznie definiować. Prawda — w tym układzie moja skłania mnie jednak do pewnych przemyśleń, którymi chciałbym się teraz z tobą podzielić. Odwołując się do aspektu zdrowia, czy może dokładniej utrzymania dobrej kondycji, powiem o pewnych faktach, które miały miejsce w moim życiu.

Lubię pływać albo może inaczej — uwielbiam. Od kilku lat w miarę możliwości staram się to robić regularnie (z różnym skutkiem). Nieważne. Ważne jest to, że kiedyś powiedziałem sobie, że przez 45 minut, jakie z reguły poświęcam na ciągłe pływanie, będę pływał delfinem czy, jak kto woli, stylem motylkowym. Miałem już za sobą takie osobiste osiągnięcia jak ciągłe pływanie żabką, 92 długości basenu (25 metrowego) w 45 minut kraulem, ale delfinem wcale nie pływałem. Może moje osiągnięcia nie były na miarę wyczynów olimpijskich, ale też nigdy mi na tym nie zależało — zawsze robiłem te rzeczy dla siebie i tylko po to, by pokonać samego siebie.

Do mojego motylka zabrałem się tak. Najpierw w trakcie pływania kraulem powiedziałem sobie, że 5 długości zamiast kraulem, zrobię motylkiem. Było ciężkavo, bo tego stylu nie ćwiczyłem i musiałem pracować przede wszystkim nad techniką, nie mówiąc o oddechu, płynności i takich tam drobiazgach. Płynąłem nim niezdarnie i zda-

wałem sobie z tego sprawę, ale to mnie nie zniechęcało, a wręcz nakręcało, by dalej działać. Uzgodniłem z samym sobą, czyli postawiłem sobie cel, który zapisałem, że za każdym razem, kiedy wejdę do basenu, żeby pływać, zrobię przynajmniej taką samą ilość długości basenu motylkiem jak poprzednio — plus jeden. No i zaczęło się. Za każdym razem dotrzymywałem obietnicy. To było w miarę proste, ale ciekawsze jest to, że po dołożeniu tego jeszcze jednego razu coś mnie nakręcało, by jeszcze ponieść poprzeczkę i wykonywałem jeszcze dodatkową długość albo dwie. Jak łatwo się domyślić, takie działanie spowodowało, że czas przeznaczony na realizację celu skracał się w zależności od ilości, które dołożyłem poza planem. Cel zrealizowałem w czasie o połowę krótszym, niż zakładałem i wcale nie musiałem się specjalnie zarzynać. 64 długości basenu motylkiem w 45 minut bez przerwy. Czy to dużo, czy mało — guzik mnie obchodzi, jak ktoś to oceni. Dla mnie było jasne, że osiągnąłem cel. Ale jeszcze ważniejsze były wnioski. Metoda małych kroków działa. I to jak działa. Co ciekawe, krótki okres wyznaczony na realizację dowolnego celu może być wyznaczony zbyt pochopnie. Ale jeśli ustalimy sobie cel i wyznaczymy mu „logiczną progresję”, to może się okazać, że jego realizacja zajmie nam o wiele mniej czasu, niż przypuszczaliśmy. Oczywiście jest warunek. Daj z siebie za każdym razem coraz więcej. Trochę więcej, nie bardzo dużo. Nie zarzynaj się, tylko odrobinę podkręć tempo. Jeśli masz zrobić trzy okrążenia, zrób trzy i pół. I to wszystko. Następnym razem, też dokładając trochę, dostrzeżesz, że jesteś do przodu o jeden trening, jedną godzinę w stosunku do swojego planu. To wydaje się proste, ale w praktyce takie nie jest. I to szczególnie przy celach innych niż te, które są uzależnione rzeczywiście wyłącznie od naszej inicjatywy.

Zawsze chciałem robić to, co mam do zrobienia i wykonania, szybko. Po to głównie, żeby móc przejść dalej, do kolejnego etapu. Nigdy nie umiałem zastosować metody małych kroków, np. w sferze pieniędzy, finansów. Najpierw wyrąbałem cel, a później ścierałem zęby, by go

osiągnąć takimi czy innymi metodami. Doszedłem do wniosków, że zdecydowanie trudniej jest iść metodą małych kroków z możliwością zaplanowania w sposób miarodajny końcowej daty realizacji, jeśli w grę wchodzi inne czynniki niż tylko nasz upór. A szczególnie, jeśli nasz plan, nasz cel jest uzależniony od innych ludzi, od zdarzeń zewnętrznych. Cóż z tego, że postawimy sobie cel, żeby zostać milionerem, zapiszemy podcele, jeśli po drodze 5 tysięcy razy okaże się, że przyjęliśmy nieodpowiednie zmienne albo nasze dane były wzięte z sufitu? Innymi słowy, czasem jest tak, jakby pewne sprawy nie zależały od nas, jakbyśmy nie mieli władzy i kontroli nad tym, co się dzieje. Pozornie wkładamy wszystko, co trzeba, a życie poprzez ironiczną ignorancję udowadnia nam, że to wszystko to nic?

Ucząc się życia, nie będę mówił, że mam na niego wszystkie patenty, bo okazałbym się ignorantem i moje patenty byłyby tak samo miarodajne jak patent żeglarski, który posiadam. To znaczy mam go, bo zdałem niby egzamin, ale — na Boga — gdybym mówił, że umiem żeglować i to jeszcze tak, by wziąć na pokład łajby ludzi, będąc dla nich kapitanem, to chyba postradałbym zmysły. A one są w porządku.

Przyjdzie czas, że to zrozumiem. Dzisiaj działam metodą małych kroków tam, gdzie mogę przewidzieć konsekwencje i coraz częściej zastanawiam się nad zastosowaniem tego schematu w innych sferach życia. Choć z drugiej strony widzę, że upór i niezłomność w niezaniżaniu poprzeczki pod żadnym pozorem też ma sens. Tymczasem metodę małych kroków polecam gorąco przy wszystkich celach sportowych. Aktualnie pracuję, by przebiec dystans maratonu, czyli ponad 40 kilometrów. Początkowe analizy wyznaczyły datę za pół roku. Ale dzień dzisiejszy pokazuje, że wcale nie będę musiał tak długo czekać. Zrobię to bez problemu w cztery miesiące, a jeśli jeszcze pomyślę i zagęszczę ruchy, wcale nie poświęcając się celowi w sposób absolutny, to może...

Pytanie może brzmieć, po co? Po co to wszystko? Po co pokonywać siebie, po co stawiać sobie cele, których nikt nie dostrzeże? Alpinieści pytani, dlaczego tak bardzo zależy im na tym, by wspiąć się na określony szczyt, odpowiadają zwyczajnie: „Dlatego, że jest”. Nic dodać, nic ująć. No może tylko zintegrować się z takim gadaniem. Krok za krokiem. Do przodu. Step by step. Tylko ciągle. Nieugięcie. Do przodu i naprzód. Raz za razem. Do końca. Teraz.

Sukces jest przewidywalny

Sukces jest przewidywalny i nie jest dziełem przypadku, a co najwyżej zbiegiem określonych okoliczności. Co wpływa na te okoliczności i co je kształtuje? Czy mamy wpływ na własną przyszłość? Jeśli tak, to w jakim stopniu? Jeśli oprzemy się na stwierdzeniu, że sukces to umiejętność osiągnięcia w życiu szczęścia (patrz tekst: „Czym jest Sukces?”), to niektórzy mogą z góry przekreślić własny udział w kształtowaniu go. Popularnie szerzące się „przekleństwo” rodzaju ludzkiego bazuje na tym, że szczęście albo się ma, albo nie, a to, czy pojawia się ono w naszym życiu czy nie, jest dziełem czegoś tak niezbadanego jak przypadek. Jeszcze raz powtórzę, bo takich stwierdzeń nigdy zbyt wiele. PRZYPADKI NIE ISTNIEJĄ. Bóg nie gra z nami w kości, a przynajmniej nie w taki sposób, w jaki często zdajemy się to pojmować. Ludzka chęć do sprowadzania wszystkiego do miana przypadku i mówienie o tym, że na nic nie mamy wpływu, to jedynie nieudolna próba zrzucenia odpowiedzialności za swoje życie na plecy Boga, Wszechświata, losu czy szeroko rozumianego życia. Możemy, co prawda, zasłaniać się w ten sposób, ale nie zda się to na zbyt wiele, bo przecież o tym, kim jesteśmy, świadczy to, jak żyjemy. Nikt nie zdoła zasłonić żalostnego obrazu pięknym opakowaniem, przynajmniej nie na dłuższą metę.

Pragnę w tym temacie przynieść dobre, ale i może nie najlepsze z drugiej strony wiadomości (nie najlepsze dla tych, którzy czekają, aż coś samo spadnie im z nieba). Dobra wiadomość to taka, że mamy wpływ na to, czy jesteśmy szczęśliwi czy nie, a co za tym idzie, wiedzieć należy, że sukces jest przewidywalny. Wynika z tego, że życie można kształtować samemu. A ta niezbyt ciekawa informacja (która zniesmaczy życiowych leniuchów) to ta, że osiągnięcie dobrobytu, dobrostanu i stanu długotrwałej błogości wymaga od nas wysiłku.

Czyli popularnie rzecz ujmując, bez pracy nie ma kołaczy. A jak to się robi? Otóż pozwolę sobie znowu zacytować mądrość narodu, że co zasiałeś, żąć będziesz. Sam słowo „żąć” jest odrobinę niemodne, dlatego łatwiej nam będzie posługiwać się analogią do ziarna wsadzonego w ziemię, które wyrasta na piękną roślinę. Nie powtarzając całej przypowieści, jaką dzisiaj przypisuje się cieśli z Nazaretu, skrótowo rzecz ujmując: jeśli w naszym życiu posadzimy ziarna sukcesu i będziemy je pielęgnować, osiągniemy sukces, a jeśli nie — to nie. Nasze ziarna to nic innego jak stawiane sobie przez nas samych cele do osiągnięcia. Pieczołowicie nawadniane, z troską wyhodowane przynoszą chwałę i radość hodowcy, pod warunkiem że realizują nasz prawdziwy wewnętrzny potencjał. Czasem ten potencjał jest skutecznie zasłonięty przez tę część naszej podświadomości, która domaga się zaspokojenia pragnień powodowanych pożądaniem wynikającym z bałwochwalczego chęjstwa błyskotek wieszanych na drzewie życia, przez czynniki zewnętrzne. I wtedy idziemy ścieżką zaspokajania zmysłów za pomocą gadżetów. Ale to temat na inną okoliczność.

Zawsze jesteśmy w stanie zdefiniować, czy idziemy w dobrym kierunku. Mówi nam o tym nasza intencja. Bo przecież nie zawsze możemy z całą pewnością stwierdzić, że to, co robimy, jest absolutnie wartościowe, potrzebne nam czy odpowiednie dla nas. I mamy prawo popełniać błędy. To ludzka rzecz. Tak jak wspomniałem, liczy się intencja i jeśli ona jest wartościowa, to znaczy, że idziemy w dobrym kierunku.

Przewidywalność sukcesu jest rzeczą niezbyt trudną, jeśli przyjrzymy się temu, co robimy. Przyjrzyjmy się kilku przykładom. Jeśli ktoś chce schudnąć, a bez przerwy opycha się słodyczami, lodami i ciastkami, to ma małe szanse, że osiągnie cel. Jeśli sportowiec zamiast trenować swoją dyscyplinę, będzie ćwiczył podnoszenie kieliszków czy kufli w barze, to prawdopodobieństwo osiągnięcia przez niego medalu na zawodach będzie wątpliwe. Jeśli chcesz poprawić stosun-

ki domowe z partnerem i nie zmieniasz swojego podejścia w fundamentalnych kwestiach, które stanowią przyczynę konfliktów, to nie należy oczekiwać, że twoje życie rodzinne będzie spełnione. Jeśli ktoś pragnie wyjść z biedy i stać się zamożny, a nie zgłębia mechanizmów rządzących tym zagadnieniem i nie zmienia swojego trybu życia, który doprowadził go do biedy, to nie ma co liczyć na cud. Cuda są wynikiem określonych mechanizmów, które są uruchamiane w naszych wnętrzach, przede wszystkim poprzez zmianę podejścia do tego, co możliwe. Wiara i pozostałe elementy przychodzą później. Najpierw jest decyzja, że coś jest możliwe.

Te przykłady, choć bardzo ogólne, pozwalają — mam nadzieję — na wyciągnięcie wniosków, że to my sami i że w większości kwestii życiowych mamy na bieżąco wgląd, dokąd prowadzą nas podejmowane przez nas działania. Czyli inaczej sprawę ujmując, mamy możliwość przewidzenia, czy osiągniemy sukces czy nie, bo widzimy, w którym kierunku zdążamy. Oczywiście do tej całej analizy jest nam potrzebny obiektywizm i rozsądek, bez elementów oszukiwania samego siebie. Jeśli brniemy jeszcze głębiej w bagno, nie należy oczekiwać tego, że będziemy poruszać się coraz swobodniej, no chyba że jest nam piśnany cud absolutny, który może się nam kreować jako czysta boska interwencja znikąd, ale tak naprawdę nie jesteśmy w stanie po prostu dostrzec jego przyczyn z uwagi na naszą ograniczoną zdolność postrzegania zdarzeń i ich przyczyn powstawania.

Zarówno sukcesy dotyczące realizacji celów, jak i sukces globalny rozumiany jako nasz sukces życiowy są przewidywalne, bo ten duży i globalny jest niczym innym jak sumą tych mniejszych. Nieprawdaż?

Synchroniczność

Synchronicznie i bezpiecznie

spełnię wszystko, co przyrzekłem,

jeśli czas mi ręce spęta,

wtedy wszystko zapamiętam...

Jedną z ciekawszych metod przekazywania nam informacji przez Wyższy Rozum do świadomego „ja” jest synchroniczność. Polega ona mniej więcej na tym, że w trakcie przeżywania określonych zdarzeń w obrębie naszego doświadczenia pojawiają się charakterystyczne sygnały, na które warto zwrócić uwagę. Czasem są one zabawne, czasem irytujące, czasem ich zabarwienie emocjonalne jest obojętne. Natomiast ich podstawową właściwością jest to, że nakierowują nasz świadomy umysł na określoną cechę. Może to być kolor, rzecz, zdarzenie, symbol czy kształt. Tylko jak to rozpoznać?

Synchroniczność ma miejsce stale, czyli sygnały do nas wysyłane są nieustannie „produkowane” przez otaczający nas świat. Powodem takiego stanu rzeczy jest to, by człowiek w sposób najkorzystniejszy dla siebie mógł realizować swoje życiowe plany. Czemu jednak jest tak, że nie dostrzegamy tych „podpowiedzi losu”, a ignorując je i działając na własną rękę, dziwimy się później, że zawsze mamy pod górkę? Powodów jest kilka. Nie wierzymy w coś takiego jak przewodnictwo, które mamy zagwarantowane zawsze, jeśli zechcemy zaufać. Poza tym często, analizując nawet zdarzenia synchroniczne logicznym rozumem, odrzucamy je jako „mało prawdopodobne” lub niegodne uwagi. W tym momencie wiedzieć należy, że synchronia to nie logiczna część naszego bytu. To część logicznie doskonała, bo doskonale skonstruowany Wszechświat wie, co jest najlepsze dla nas i dla naszego rozwoju, i jego perspektywa pojmowania całości tego, co jest

dla nas dobre, jest niewspółmiernie szersza od naszej — ograniczonej ludzkim mózgiem.

Sama praca ze zjawiskami synchronii szczególnie na początku jest dosyć trudna, w myśl przysłowia, że początki zawsze są trudne. Co zatem można poradzić komuś, kto pragnie zaufać szeroko rozumianemu Bogu, ale nie wie, jak to zrobić? Którą drogę wybrać, podejmując decyzję? Jak osiągnąć sukces w tym ciągle zmieniającym się świecie? Bo samo słowo „zaufać” może nie wystarczyć, trzeba wiedzieć, jak to zrobić. Synchroniczność może być jednym z elementów, na którym warto się oprzeć. A zatem wróćmy do podstawowego pytania: „jak ją rozpoznać?”. Jeśli coś w twoim życiu zdarza się stale, nagminnie, niezależnie od tego, czy jest to choroba czy stłuczka samochodowa, czy określone słowa, które docierają do Twoich uszu, to niewątpliwie jest to sygnał, że należy się nad tym faktem zastanowić. Dlaczego te sekwencje zdarzeń, słowa, zjawiska nieustannie goszczą w twoim doświadczeniu życia? Po co wydarzają się te sytuacje? Czego mają cię nauczyć? Zadając sobie takie pytania, otrzymasz odpowiedzi. Może nie od razu, ale na pewno wtedy, kiedy przyjdzie na to czas. Jeśli idziesz ulicą i w przeciągu trzech minut, czy nawet godzin, twoją uwagę zwracają osoby o rudych włosach i niebieskich dużych oczach, to nie jest to przypadek. Może spotkasz właśnie taką postać na dalszej drodze swego życia i ona pomoże ci w określonym zagadnieniu? Jeśli nigdy nie zwracałeś uwagi na koty i w jednym dniu twoja uwaga zostanie skierowana właśnie na nie i twoje oczy dostrzegą cztery koty w różnych sytuacjach (mogą to być żywe stworzenia, na plakatach, w telewizji, w gazecie lub czyjeś słowa o nich), to z całą pewnością nie będzie to przypadek (liczba cztery jest przykładowa, może ich być trzy czy pięć, chodzi tu o niespodziewanie dużą ilość razy). I nie będzie to przypadek, dlatego że przypadki jako takie nie istnieją. Wszystko, co się wokół nas dzieje, ma miejsce z określonego powodu. We wszystkim, co się dzieje, jest cel.

Czasem można znaki wskazujące na przewodnictwo pomylić z sytuacją, kiedy nasze myśli przyciągają do nas obiekty naszych pragnień. Dzieje się tak na przykład, kiedy chcemy zmienić samochód na inny model i właśnie ten nowy model widzimy na każdym kroku. Znaki wskazujące na to, w jakim kierunku należy podążać, aby odnieść sukces, są często bardzo subtelne. Dlatego warto analizować, co widzimy, co się wokół nas dzieje, by wiedzieć, co Wszechświat ma nam do zakomunikowania. O samych sygnałach warto dodać, że nie sposób jest przecież dokładnie analizować wszystko, co dzieje się w naszym życiu, bo wtedy nie robilibyśmy nic innego jak tylko nieustające analizy. Gdzie zatem byłby czas na samo życie? Co do zdarzeń synchronicznych warto przyjąć taką zasadę. Jeśli coś ma miejsce trzykrotnie, to zasługuje to na uwagę i na naszą analizę. Jeśli wybierasz się na urlop i ktoś przypadkowo spotkany mówi ci, że to nie jest dobry czas na odpoczynek, to może to być jego opinia. Ale jeśli do tego łapiesz lekkie przeziębienie, które nie sprzyja podróżom, w miejscu, do którego się udajesz było niedawno trzęsienie ziemi, a twój partner zaczyna przebąkiwać, że najlepiej byłoby zostać w domu lub posiedzieć na działce, to zastanów się, czy planowany wyjazd jest dobrym rozwiązaniem.

Przykłady ludzi, którzy spóźnili się na samolot czy pociąg, aby uniknąć śmierci w katastrofie, od faktów mających miejsce w realnym świecie przeszły już dzisiaj do legendy. Znamiennym jest to, że większość z tych osób, kiedy dowiedziała się, że nie zrealizuje swoich zamierzonych logicznie planów, raczej nie była z tego powodu szczęśliwa. Kiedy jednak dowiedziała się, jaki los spotkał tych, którzy zdążyli wsiąść do maszyny stanowiącej jednocześnie ich trumnę, dziękowali Bogu za to, że pomógł im pożyć jeszcze na tym świecie. Kolejnym ważnym wnioskiem jest to, że właściwie zawsze (albo bardzo często) informacje o tym, by czegoś nie robić lub co robić, docierają do nas na długo przed tym, zanim mają miejsce bardzo spektakularne sceny. I to kolejny powód, by szukać tej synchroniczności w swoim ży-

ciu. Można powiedzieć, że synchroniczność, czy może synchronia, to jedna wielka symfonia tego Wszechświata, z którego jesteśmy stworzeni. I może warto wrócić d korzeni...

Ale synchronia to nie tylko zwracanie uwagi na sygnały, które do nas docierają. To również umiejętność dostrzeżenia, jakie narzędzia są w zakresie naszego posiadania, jeśli chodzi o realizację planowanych przez nas zamierzeń. Życie może być proste. I jest proste. Ludzie sami komplikują je, jeśli na siłę starają się usunąć stojący przed nimi mur. Bo jeżeli na naszej drodze stoi wiele przeszkód, to znaczy, że droga przez nas wybrana jest wątpliwej jakości w odniesieniu do naszego rozwoju. Czasem trzeba zacisnąć zęby i pokonać siebie, ale życie w takim schemacie przez cały czas powoduje dysharmonię, która objawia się strachem, chorobą i bólem. Można tego uniknąć. Jeśli w naszej głowie pojawia się jakiś plan, a do jego realizacji nie mamy potrzebnych narzędzi, to znaczy, że warto go przeanalizować jeszcze raz. Podobno jest tak, że Bóg nie daje człowiekowi zadań ponad jego siły. Zawsze mamy w sobie tyle, ile potrzeba nam do realizacji projektu, który ma w sobie znamiona „bożego błogosławieństwa”. A jeśli to, co mamy zrobić, jest ponad miarę naszych możliwości, to znak, że plan nie powstał w tej części naszej istoty, która nazywamy Wyższą Jaźnią i wtedy nie zasługuje na uwagę.

Jeśli w twoim portfelu znajduje się określona kwota, a pragnienie zakupów znacznie ją przewyższa, to może być znak, że nakupujesz rzeczy, które nie są ci wcale potrzebne (pieniądze można pożyczyć, wyjąć z bankomatu, zapłacić kartą). Inny przykład, może nieco kontrowersyjny. Zaplanowaliśmy dzień grillowania w ogrodzie, ale od rana leje deszcz. Cały dzień, jak na złość. To nie na złość. To sygnał, że lepiej będzie posiedzieć w domu albo zrobić jeszcze coś innego. Gdyby miało być to dobre dla wszystkich związanych z takim spędzeniem czasu, to nie padałby w tym czasie deszcz. Przykład jest kontrowersyjny, bo czy specjalnie dlatego, byśmy mieli sygnał, zaczął padać

deszcz? Przemyśl to sobie. Trzeba jechać do miasta, wysłać coś gdzieś. Ale nie ma benzyny w baku samochodu. Nie ma też pieniędzy, żeby zatankować. Pieniądze będą jutro. Pożyczyć i jechać? A może poczekać? A może nie trzeba wcale tego wysłać? Często pomysł jest dobry, tylko czas i miejsce jeszcze nie dojrzały.

Mozna powiedzieć, że jeżeli jest synchronia, to wszystko ułoży się jak po maśle. W ten właśnie sposób Wszechświat oznajmi Ci, że to dobry pomysł, czas i miejsce. Najczęściej jest tak, że jeśli pomysł jest dobry, a czas jego realizacji ma być natychmiastowy, to wszystkie narzędzia do jego realizacji są dostępne od razu. Jeśli jest inaczej, to warto sprawę przemyśleć jeszcze raz.

Podążanie za synchronią, która ma miejsce w naszym życiu, spowoduje, że unikniemy wielu katastrof i błędów. Nie oznacza to, że zaczniemy żyć beztrosko, bo w takim układzie przestalibyśmy się uczyć, a na to rodzaj ludzki nie jest jeszcze przygotowany. Ale zrobimy przynajmniej kolejny krok na osobistej drodze do sukcesu.

Szczęściarz

Wertując Słownik Współczesnego Języka Polskiego na potrzeby tworzenia mojej siódmej książki, którą właśnie piszę — „Człowiek i Sukces”, natknąłem się na pewną definicję, którą pragnę się z tobą podzielić. Ta definicja dotyczy słowa „szczęściarz”. Podaję za wyżej wspomnianym słownikiem: szczęściarz — 'człowiek, który ma szczęście, któremu się poszczęściło'. „Szczęściarz z niego, ma piękną żonę, zdrowe dzieci i robi karierę.” Wiemy już, jaki jest obraz szczęściarza w definicji współczesnego postrzegania naszego życia. Traf chciał, że czytając tę definicję, byłem właśnie przy zagadnieniu dotyczącym tego, że nasze zachwianie równowagi i dysharmonia są spowodowane nadmiernym przywiązaniem do materialno-bytowej strony życia. Nie chcę robić z tego zagadnienia jakiejś krucjaty, ale dokładnie tak właśnie uważam, co wobec powyższego staram się w swych koncepcjach uwzględniać.

Definicja, którą przeczytałem, przykuła moja uwagę i skłoniła mnie do refleksji. Nie czułem się zbyt dobrze, upewniając się w tym, że słownikowe pojęcie i postrzeganie szczęścia jest odzwierciedleniem otaczającej nas rzeczywistości. Z drugiej strony, czego innego można się było spodziewać? Być może nie wszyscy jeszcze dokładnie zrozumieli, co mnie nurtuje w tym zagadnieniu, a więc spieszę wyjaśnić. Otóż pierwsza część definicji, oprócz tego, że czyni masło maślanym, niewiele wyjaśnia, natomiast druga jest niezwykle precyzyjna. Człowiek szczęśliwy to taki, który ma piękną żonę, zdrowe dzieci i robi karierę. No każdy by tak chciał. Zapewne każdy. Czyżby? Iluż świat nasz okrągły nosi ludzi, których dzieci są zdrowe, żony piękne, kariery się doskonale z pozoru prezentują, a ich życie jest tak naprawdę w rozsypce? Czy wyznacznikiem tego, że ktoś jest szczęśliwy, może być piękna żona? Czy to jest najważniejsze, by była piękna? Czy może

chodzi o to, by była raczej mądra? Ważne jest to, żeby świeciła pozornie jak gwiazda czy może lepiej, żeby rozumiała swojego partnera i wspólnie z nim budowała związek?

Idźmy dalej. Zdrowe dzieci to skarb. Zresztą dzieci to w ogóle skarb, a jeszcze zdrowe, to już w szczególności. A co, jeśli dziecko jest chore? Czy ojciec, bo definicja dotyczy mężczyzny, może być szczęśliwy, jeśli jego dziecko jest chore? Czy chore dziecko musi czynić jego ojca czy opiekuna nieszczęśliwym? Ta część definicji zostanie przeze mnie najmniej poruszona, dlatego że warunek zdrowych dzieci najmniej mi w niej przeszkadza.

Trzecim warunkiem, jaki musi być spełniony, aby człowiek był szczęśliwy, jest to, by ktoś robił karierę. A co jeśli ktoś nie robi kariery? Czy może być szczęśliwy? Czy może cieszyć się szczęściem, nie będąc gromadzącym zasoby pieniężne pracodawcą czy najemnikiem?

Czy w końcu warunkiem szczęścia jest to, by robić karierę? Iluż znamy ludzi, którzy robiąc karierę, zniszczyli wszelkie fundamenty, na których mogli zbudować szczęście swoje i swoich bliskich?

Chcąc się rozwinąć do granic możliwości, zadam kolejne pytanie i sam na nie odpowiem. Czy jest coś złego w pięknej kobiecie, zdrowym dziecku i robieniu kariery? Nie, to piękne i chwalebne, ale jeśli tymi trzema czynnikami definiujemy szczęście czy naszego szczęściarza, to mam smutną wiadomość. Te czynniki nie są najważniejsze, a nawet nie są drugoplanowe, aby człowiek mógł być szczęśliwy. Gdyby tak było, szczęście wylewałoby się nam uszami, a tak się niestety jeszcze nie dzieje.

Można by powiedzieć, że nadmiernie wyolbrzymiam, że przebarwiam, ale przecież nie wyciągnąłem tej definicji ze śmietnika, tylko ze słownika, który oprócz tego, że powinien nieść treść merytoryczną, dobrze by było, gdyby spełniał rolę edukacyjną wyższego pozio-

mu niż przeciętne czasopismo z cyklu „spływamy temat, ile to tylko możliwe, byle się sprzedawało”.

Postrzeganie przez nas szczęścia w aktualnej dobie informacyjnej jest tak płytkie, że nie może doprowadzić do spełnienia, na które tak przecież każdy z nas liczy.

Problemem w całym tym zagadnieniu jest sama kwestia tego, gdzie i w jaki sposób postrzegamy szczęście. Nasza słownikowa definicja nie robi nic innego, jak tylko potwierdza nasz sposób traktowania i postrzegania szczęścia. Piękno fizyczne, zdrowie naszych dzieci i to, gdzie pracujemy, nie jest prawdziwym szczęściem, stanowi jedynie element zewnętrzny, który może być przejawem fizycznym prawdziwego szczęścia, ale równie dobrze wcale takim być nie musi. Te elementy nie gwarantują szczęścia, a jedynie mogą wskazywać na jego potencjalne możliwości istnienia.

Słownikowa definicja powinna ulec zmianie, jeśli chcemy, by była prawdziwa. Żeby jednak to nastąpiło, potrzebne są zmiany w myśleniu i postrzeganiu nas ludzi. Nasza uwaga, zwrócona tak bardzo egocentrycznie i koncentrująca się na mało istotnych z punktu widzenia rzeczywistych i trwałych wartości cechach, wymaga przededefiniowania, jeśli nie chcemy dłużej taplać się w basenie bylejakości, szukając w nim orzeźwiającego miejsca.

Skoro już pozwoliłem sobie na krytykę tego, co według mnie należałoby zmienić, warto, bym powiedział, czym dla mnie jest szczęście. I powiem to wtedy, kiedy przyjdzie na to czas. Ten czas przyjdzie wraz z wydaniem mojej książki „Człowiek i Sukces”.

Tu i Teraz

Przekopując się przez tomy książek dotyczących samodoskonalenia, możemy bardzo często spotkać się ze stwierdzeniem „tu i teraz”. Autorzy tych publikacji namawiają nas do tego, by żyć w terażniejszości, a nie tak jak najczęściej nam się zdarza — poruszać w przeszłości, rozpamiętując minione wydarzenia, lub w przyszłości, planując, co będziemy robić. Obietnice są takie: jeśli uda ci się być w terażniejszości, to uzyskasz dostęp do wewnętrznej mocy, która przyspieszy wszystko, co robisz, nadając myślom moc natychmiastowej materializacji. Jeśli komuś na tym zależy, to dołoży wszelkich starań, by uzyskać dostęp właśnie do tego wewnętrznego źródła. Ale zastanówmy się przez chwilę, w jaki sposób tego dokonać. No bo co tak naprawdę oznacza, żeby być „tu i teraz”? Wypowiedzieć coś jest łatwo, ale dla kogoś, kto nawet ma jakieś pojęcie o rozwoju duchowym, może się okazać nie lada problemem nie tylko to, żeby być w terażniejszości, ale żeby zrozumieć, jak to się robi.

Spróbujmy prześledzić zatem, co trzeba robić, żeby być tu i teraz. Jeśli mamy być teraz i nie myśleć ani o przeszłości, ani o przyszłości, tylko być, to możemy albo o czymś myśleć, albo nie. Najpierw zajmijmy się niemyśleniem.

Wiele systemów medytacyjno-rozwojowych kładzie akcent na stan niebytu, czyli niemyślenia o niczym. Wystarczy po prostu być i wtedy człowiek stapia się z boskością, która jest w nim głęboko zakorzeniona. Ale zwrócić należy uwagę na fakt, że ten stan osiągną ludzie po wielu latach bardzo żmudnych i ciężkich ćwiczeń. Dla kogoś, kto nie jest za bardzo w temacie, nawet samo pomyślenie o tym, że można być w stanie, kiedy nie myślimy, może wydawać się nie tyle absurdalne, co niemożliwe. Czy zatem istnieje jakiś inny sposób na to, by żyć

w terażniejszości, czerpiąc obficie ze skarbcza energetycznego potrzebne nam zasoby?

Jeśli niemyślenie nie jest jedną z dróg, to inną może być myślenie. Ale jeśli nie o przeszłości ani o przyszłości, to o czym? Według koncepcji najbardziej rozpowszechnionej (lub tej najlepiej mi znanej) powinniśmy myśleć, czy raczej analizować swoje emocje. Analizując własne odczucia, biorąc je pod lupę własnego osądu, zaczynamy pracować nad tym, co jest, a nie nad tym, co było czy co będzie (choć pośrednio kreujemy swoją przyszłość i uzdrawiamy przeszłość w taki właśnie sposób). I muszę powiedzieć, że analiza własnego zachowania, własnych emocji to bardzo pożyteczna lekcja, która pomaga nam zrozumieć lepiej nie tylko nas samych, ale również otaczający nas świat. Ale nie rozwiązuje ona wystarczająco zagadnienia przebywania w terażniejszości. Albo przynajmniej mnie się to jeszcze w ten sposób nie udało (albo tego nie dostrzegłem).

Analizując całe zagadnienie dalej, warto w końcu zastanowić się, czym tak naprawdę jest przebywanie w terażniejszości. I jeszcze jedno. Nieistotne jest, czy czas linearny istnieje rzeczywiście czy nie. Żeby logiczny umysł zrozumiał, o co chodzi, musi wiedzieć, ile czasu trwa przebywanie w terażniejszości. Chwilę? Ułamek sekundy? A może to cała wieczność. Słowa, słowa, słowa. Semantyka, która nic nie wnosi do dalszych rozważań(a może wnosi wszystko?). Bycie tu i teraz to znalezienie się w tej chwili, kiedy zatracamy poczucie czasu i jesteśmy. Po prostu. Takie podsumowanie znajdziemy w większości wypowiedzi, książek. Lub inaczej — to kwintesencja tego, co wiemy na temat terażniejszości. Powąchaj kwiat i zachwyć się, zachwyć się cudownym śmiechem dziecka, a będziesz w tej niepowtarzalnej chwili, którą teoretycy duchowości i praktyczni wykonawcy nazywają terażniejszością bycia. Szczerze? Tak szczerze, to zrozumieć to może chyba tylko ten, kto doznał już stanów zmiany świadomości, oświecenia czy jak tam to nazwiemy. Bo dla przeciętnego zjadacza chleba

wszystko to jest trochę niejasne. Ja przynajmniej tego nie rozumiem. A wiele bym dał, by móc powiedzieć: „Wiem! Eureka! Już nie jestem tumanem!”

Wydaje się jednak, że przyjdzie mi na to jeszcze trochę poczekać. Nie wiem, ile. Pewnie do momentu, aż nie nauczę się koncentrować tak mocno (a zarazem niemocno, bo nic na siłę), żeby „wskoczyć” w jedną małą chwilę, poczuć nagle tu i teraz, uwolnić moc, kierując ją jednocześnie na cel, dla którego właśnie w takiej konfiguracji się znalazłem.

Wszystko wskazuje na to, że zanim to nastąpi, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zwalniać, kiedy sobie o tym przypomnę, zatrzymać się, kiedy to tylko możliwe, żeby poczuć piękno otaczającego mnie świata i zachwycać się nim ot tak, po prostu. I kiedy będę już gotów, kiedy dorosnę do tego, by dane mi było skosztować słodczy, otworzą się przede mną bramy zrozumienia i zniknie zasłona niewiedzy. Wtedy zatrzyma się czas i uwolnię swoją moc.

Jest jeszcze tylko jedno małe pytanie, na które warto poszukać odpowiedzi. Po co? Po co to wszystko, po co szukać takiej chwili? Po to, by się nią zachłysnąć? Po to, by udowodnić sobie, że mnie na to stać? Myślę, że tak, że właśnie po to. Ale myślę jednocześnie, że również po to, by zrozumieć więcej. Zrozumieć więcej na temat swój i otaczającego mnie świata. Zrozumieć siebie, bo jeśli stać mnie będzie na to, żeby choć na chwilę, nawet pozornie zatrzymać płynący czas, to czyż nie będzie to oznaczało, że tkwi w nas jakaś niepojęta jeszcze do końca siła, która czyni nas potężnymi w swej konstrukcji? Ale zanim nastąpi ta chwila, pozostaje mi tylko wachać kwiaty i to niekoniecznie od spodu.

Walka o marzenia

Na pytanie, co powoduje, że rodzaj ludzki robi postępy na drodze swojego wzrostu, choć często też upadku, prawdopodobnie można by odpowiedzieć, że pragnienia. Pragnienia osiągnięcia, posiadania czy bycia. Bardziej namacalną sferą naszych pragnień są marzenia.

Z dużym uproszczeniem można by powiedzieć, że stanowią one pierwszy krok na drodze tego, by nasze pragnienie mogło się zamianować na płaszczyźnie fizycznej, tak bardzo przecież przez nas pożądanego. Czym więc tak naprawdę są marzenia i czy powinniśmy dążyć do tego, by stanowiły bodziec do działania, do osiągania kolejnych celów w naszym życiu? Czy może raczej — jak niektórzy twierdzą — są tylko niepotrzebnym balastem, który powoduje, że spotykamy się z dużą ilością rozczarowań i niepowodzeń w chwilach, kiedy okazuje się, że były one zwyczajną mrzonką, która z logicznego punktu widzenia nie miała prawa się zrealizować. Z jednej strony daje się często usłyszeć słowa, które padają z ust tych „ostrożnie prowadzonych przez życie”, że: „ od życia nie należy oczekiwać zbyt wiele, bo można się oparzyć”, z drugiej strony w wielu podręcznikach podpowiadających, jak osiągać nieprzeciętne rezultaty, często natrafiamy na stwierdzenie, które mówi o tym, by mieć potężne marzenia, bo tylko takie mogą być paliwem, jeśli chcemy osiągnąć szczyty naszych możliwości.

Jeśli podejmiemy do tego zagadnienia w sposób analityczny, to dojdziemy pewnie do wniosku, że marzenia to nic innego jak myśli. Myśli o konkretnych rozwiązaniach, o konkretnych sytuacjach, a raczej o konkretnych obrazach. Marzenia to nic innego jak wizualizacje danych okoliczności i sytuacji. Marzymy o wczasach nad ciepłym morzem, o nowym samochodzie, o przyjemności doznawanej w kon-

kretniej okoliczności będącej tak przyjemną z uwagi na obecność określonych osób, lub rzeczy. Często marzenia wiążą się będą ze stanem bycia, lecz prawie zawsze w odniesieniu do czegoś lub z uwagi na coś. Patrząc na sprawę z tej perspektywy, należałoby się zastanowić, jak myśli człowiek. Otóż nie jest już chyba żadną tajemnicą, że myślimy obrazami, czyli, mówiąc inaczej, nieustannie wizualizujemy, nawet jeśli nie zdajemy sobie do końca z tego sprawy. Nasze emocje, które są paliwem dla myśli, zamieniają się w naszych umysłach, czy może lepiej mózgach w obrazy. A zatem niedaleko już do stwierdzenia, że marzymy, myśląc. Czyli jeśli założymy, że myślimy wciąż, a prawie zawsze tak jest, kiedy jesteśmy w stanie czuwania i działania świadomego, to należy domniemywać, że marzymy na okrągło.

Pytanie jest teraz takie. O czym marzymy i jaka jest jakość naszych marzeń? Myśli mają tendencje do tego, by przeradzać się w impulsy powodujące działanie, a działanie posuwa nas w kierunku zdarzeń, które kreują naszą rzeczywistość. Rzecz jasna same myśli też mają ogromną moc i niezależnie od działania powodują konsekwencje w postaci przyciągania do nas obiektów naszej uwagi.

Stwierdzenie, że każdy powinien mieć marzenia, jest banałem, bo tak naprawdę każdy ma marzenia. Tylko że jedni zdają sobie z tego sprawę, a inni nie. Może sprawy się tak mają dlatego, że jako marzenia z reguły staramy się definiować te miłe i przyjemne dla nas rzeczy. Czy marzenie o tym, żeby złamać sobie nogę, jest inne niż marzenie o tym, by wykąpać się w wannie pełnej koziego mleka? No pewnie jest inne, ale ten, kto marzy, by złamać nogę, bo na przykład dostanie z tego tytułu odszkodowanie, będzie miał gdzieś wannę pełną ciepłego mleka.

„Marzenia są paliwem w lokomotywie osiągnięć” — pisze Brian Tracy. I trudno się z nim nie zgodzić. A teraz kwestia zasadnicza. Jakie marzenia powinien mieć człowiek? I dalej. Jakie marzenia powinien

mieć człowiek sukcesu? Jakie marzenia powinien mieć człowiek, który pragnie wzrostu, rozwoju, który chce, by świat był cudownym miejscem i aby w tym miejscu mógł on realizować swój nieograniczony potencjał? Jeśli chcemy osiągać nieprzeciętne rezultaty, to jakie powinniśmy mieć marzenia? Jeśli chcemy mieć wszystkiego w brud, to dlaczego zamiast marzyć o nas samych jako o miliarderach, ograniczamy się do myślenia o sobie jako o milionerach? Bo miliony nam wystarczą, nie jesteśmy przecież pazerni. Dlaczego nie myślimy o sobie jako o pracodawcach w momencie, kiedy nie czujemy się dobrze w roli pracownika, tylko mydlimy sobie oczy, że jest nam z tym dobrze i tak powinno być? Co nas ogranicza w tym, żebyśmy marzyli z poziomu, który tak często deklarujemy w swoich słowach? To strach. Strach przed sukcesem, strach przed tym, czy nam się uda, strach przed tym, dokąd nas zaprowadzi ta droga, którą świadomie przecież chcemy wybrać. Strach przed sukcesem, to też strach. Zostań gwiazdą sceny muzycznej. Tyram jak wół, ćwiczę. Kiedy moje marzenia zaczynają nabierać realnych kształtów, zaczynam mieć obawy, czy aby podołam, czy dam radę, czy się nie skompromituję i jak mnie odbiorą inni ludzie? Dzisiaj deklaruję, że jutro zakładam swoją własną firmę. Jutro wstaję i trzęsą mi się łydki. Iść do urzędu czy może lepiej w przyszłym tygodniu? W sercu czuję ucisk. Dzisiaj jeszcze nie, a tak naprawdę, czy to wszystko ma sens, czy poradzę sobie z prowadzeniem własnej działalności?

Rada? Nie ma rady, trzeba ćwiczyć siebie w tym doświadczeniu i pokonywać ograniczające nas uprzedzenia. Uprzedzenia przed tym, że nie jesteśmy zbyt dobrzy, zbyt wiele warci. Łatwo jest powiedzieć: „Miejcie wielkie marzenia i realizujcie je. „Nie bójcie się.” Czy może mówiąc bardziej po pawłowemu — „nie lękajcie się”. Sam się boję, podejmując się kolejnych wyzwań, czasem tak bardzo, że ucisk w żołądku jest nie do zniesienia. Walczę sam ze sobą na wszystkich poziomach mojej egzystencji. Ale idę i iść nie przestanę. To walka. Walka o własne marzenia. Walcz, bo to ma sens.

Wolność

Wolność. Czym jest? Może utopią, a może absolutną rzeczywistością, na którą są skazani ci, którzy na nią zachorują? A może ona sama w swej treści jest niewidzialnym znakiem na sercu każdego człowieka, dającym w pewnym momencie życia sygnał, że trzeba się za nią rozejrzeć, że trzeba ją poznać? Czym jest wolność? Słowem czy może czynem? Działaniem czy stanem bycia? Czy oznacza ona to, że wolno nam robić, co tylko rzewnie nam się podoba? A może jest stanem ła-ski? Wolność — od czego? A może lepiej zabrzmi — przed czym? Jak ją pojmujemy, czym ją określamy? A może to stan aktywności, a może nieaktywności?

Mówię to, co chcę. Wyrażam wolność? Robię to, co chcę. Wyrażam wolność? Myślę według schematu, który wydaje mi się wyzwolony od wszelkich zewnętrznych wpływów. Czy wtedy jestem wolny? Kiedy jestem wolny naprawdę? Co musi spowodować, żebym poczuł się wyzwolony? Czy wolność jest stanem, kiedy mam w dupie wszystko i wszystkich? A może jest stanem, kiedy mam wszystko i wszystkich pod kontrolą? Moją własną? I dlatego jestem wolny, że mam pod kontrolą tych, którzy potencjalnie mogliby mieć mnie pod kontrolą? Kwadratura koła.

Oglądając takie filmy jak „Waleczne serce” czy „Król Artur”, nietrudno dojść do wniosku, że walka o wolność jest w tych obrazach sprowadzona do dążenia do stanu, w którym człowiek ma prawo, aby decydować o swoim losie. Pragnienie układania sobie życia według systemu, o którym sami zdecydują, czy będzie właściwy czy nie, jest tak potężne, że pcha bohaterów wyżej wymienionych obrazów do czynów nie tylko heroiczych, ale po częstokroć przekraczających ludzkie możliwości. Nic tak bardzo nie motywowało ludzi w całej historii

świata jak pragnienie wolności. To za nią oddawano życie i w jej imię posuwano się do granic wytrzymałości. Indianie amerykańscy woleli zginąć, niż stać się niewolnikami białego człowieka. Afrykanie, jako główne źródło niewolników, odzyskali prawa do, nazwijmy to, równouprawnienia po wielu stuleciach walki o nie. Polacy po ponad stu latach niewoli i rozbiorów odzyskali wreszcie niepodległość, tworząc suwerenne i wolne państwo, o które — nawiasem mówiąc — musieli jeszcze kilkanaście lat później stoczyć morderczą walkę z hitlerowską i nie tylko potęgą. Indie pod przywództwem duchowym i społeczno-politycznym Gandhiego wyrwały się spod brytyjskiego jarzma, stając się wolnym krajem.

To tylko niektóre z przykładów wskazujących, jak ważna dla ludzi i dla ludzkości jest wolność, niezawisłość, możliwość tworzenia życia bez ingerencji z zewnątrz. Bez ingerencji innych państw, innych ludzi myślących innymi kategoriami, bez ingerencji myśli mogącej narzucić z góry ustalony porządek zmuszający jednostkę i zbiorowość do podporządkowania się. Lata przeżytych doświadczeń i niewyobrażalna wręcz ilość historycznych wydarzeń powinna nam uzmysłwić, czym jest wolność i jak ważna jest w naszym życiu.

Najkrócej można by rzec, że wolność to brak przymusu — tak zresztą definiuje się ją słownikowo (Wikipedia). Jeżeli taka jest jej dzisiejsza definicja, to należałoby się zastanowić, na ile wolni i niezależni są żyjący w obecnej dobie ludzie tej części świata, w jakiej przyszło nam egzystować. Rozmawiając z kimkolwiek o życiu, o tym, co robi, co zamierza, jak będzie wyglądał jego dzień za chwilę, za godzinę, jutro, bardzo często spotykamy się ze słowem „muszę”. Muszę zadzwonić, pojechać, być, odebrać, zobaczyć, zdążyć, dostarczyć, zatankować, załadować. Muszę, bo ktoś czeka, żeby ktoś nie miał do mnie pretensji, żeby sprawić komuś przyjemność, bo tak wypada, żeby nie wyjść na idiotę, żeby zarobić itd. I tak rzadko w tym natłoku argumentacji ktoś wypowiada ten magiczny powód: „bo chcę”. Magiczny i brzmią-

cy magicznie, bo świadczący o świadomym wyborze podjętym dlatego, że taką podejmujemy decyzję. Ktoś mógłby zapytać: „A jaka to różnica — muszę czy chcę?”. Odpowiedź brzmi: „Zasadnicza”. Zasadnicza, bo większość tych naszych „muszę” jest podyktowana wpływami z zewnątrz, wpływami wymuszającymi na nas takie, a nie inne nastawienie. Przez całe lata jesteśmy przygotowywani do tego, by będąc ludźmi w pełni świadomymi i teoretycznie wolnymi, zachowywać się jak wyuczone schematu roboty. Jeśli musisz coś zrobić, to zastanów się, dlaczego tak naprawdę musisz. Co powoduje, że jest to naprawdę coś niezbędnego. Zdziwisz się. Dlaczego musisz wywiesić pranie właśnie teraz, dlaczego musisz kupić tę rzecz właśnie dzisiaj, dlaczego tak pilnie musisz zadzwonić? Co się stanie, jeśli tego nie zrobisz? Co się stanie, jeśli zrobisz to jutro, a co się stanie, jeśli nigdy tego nie zrobisz? To dobry test.

Kolejna kwestia dotyczy dalej słowa: „musisz”, ale wypowiedzianego ustami innych ludzi. Jak często słyszysz, że coś musisz? Kto tak najczęściej mówi i dlaczego? Partner życiowy? Szef? Ile razy mówisz swoim dzieciom, że coś muszą zrobić? I dlaczego tak mówisz?

O co mi chodzi? Co znowu próbuję udowodnić? To proste. Jeśli coś musisz i nie jesteś osobistym panem tego polecenia, to nie jesteś wolny. Jeśli przyzwyczałeś się do tego, by reagować na słowo „muszę” czy „musisz” jak automat, to bardzo łatwo tobą sterować i bardzo łatwo zakorzenić w tobie poczucie winy, jeśli nie zrobisz tego, co padło po rozkazie „musisz”. Od dziecka rodzice w kółko powtarzają nam, że coś musimy i my robimy to ze swoimi dziećmi, które też słyszą na każdym kroku, że coś muszą. Świat biegnie jak szalony na złamanie karku, nie ma czasu załadować tacek, z którymi mamy dojechać do celu, ludzie biegają jak w narkotycznym transie, bo wciąż coś muszą. I żyjemy w wolnym podobno kraju. Czy wyznacznikiem wolności jest tylko to, że wróg nie trzyma nas pod lufą karabinu? Na ile jesteśmy wolni? Na ile jesteś wolny ty?

Wywalczyliśmy wolność, pokonaliśmy wrogów, przelewaliśmy winną i niewinną krew, aby dotrzeć do miejsca, w którym naszym wrogiem kradnącym nam w bezpardonowy sposób nasze osobiste prawo do podejmowania decyzji stały się przekonania świata, w którym przyszło nam żyć. Ale przecież można to zmienić. Możesz to zmienić ty. Możesz, tylko czy chcesz...

Życie na krawędzi

Uwaga! Ten tekst został napisany jako wskazówka dla tych, którzy zdecydują się pójść za głosem serca i rozpocząć życie zgodne z własnym wnętrzem. Ale ma on również zastosowanie przy osiągnięciu bardzo potężnych celów. Ma on również zastosowanie tam, gdzie decydujemy się zrealizować projekt na pierwszy rzut oka niemożliwy do realizacji lub przekraczający zdecydowanie nasze możliwości.

Droga serca jest drogą intuicji. Droga intuicji jest drogą naszego wewnętrznego głosu. Droga naszego wewnętrznego głosu jest naszą życiową drogą wskazywaną nam przez nasze Wyższe Ja, które najlepiej wie, co jest dla nas właściwe.

Chcąc żyć zgodnie z tym, co dyktuje nam nasze serce, musimy zdać sobie sprawę z kilku zasadniczych kwestii. Jeśli całe życie poruszaliśmy się w świecie rządzonym przez ustawionego na automatyczne działanie wewnętrznego robota nafaszerowanego kodami i programami z zewnątrz, to okres nauki poruszania się drogą serca będzie niewątpliwie bolesny. W momencie, kiedy już nauczymy się żyć zgodnie z własnym wnętrzem, problem zniknie, ale do tego momentu jest wielce prawdopodobne, że wydarzą się następujące historie.

Po pierwsze, nieustannie, niemalże bez wytchnienia będziemy co chwilę nawracani przez całe otoczenie na „właściwą drogę”. Ludzie wokół nas będą się niezmiernie irytowali na sam fakt, że próbujemy żyć inaczej niż do tej pory.

Po drugie, podczas procesu dojrzewania do umiejętności poruszania się według własnych reguł wypływających z naszej intuicji nie raz spotkamy się z sytuacją, w której najchętniej rzucilibyśmy to wszyst-

ko w diabły, powracając do starych, utartych schematów. Ilość prób, jakie trzeba przejść i z jakich trzeba wyjść zwycięsko, jest często bardzo duża. Im szybciej chcemy osiągnąć nasz cel, jakim jest intuicyjne kierowanie się podczas podejmowania decyzji, tym droga jest trudniejsza, a co za tym idzie, bardziej nieprzyjemna. Wielokrotnie może się wydawać, że ból, jaki musimy znosić, pokonując życiowe trudności, jest niewspółmierny do nagrody, jaką będzie umiejętność życia w zgodzie z własnym wnętrzem.

Po trzecie, droga serca to droga naszej komunii z Bogiem. W związku z tą zależnością niezbędne jest w pewnym momencie poddanie się jego woli tak, by całkowicie pozwolić się ponieść właśnie jemu. I tu zaczyna się kolejny problem, który testuje, mogłoby się wydawać, beznamiętnie naszą wiarę. Na ile jesteśmy w stanie zaufać i jak wiele znieść, wierząc i trwając do końca testu? Doskonałym przykładem tego, o czym teraz mówię, jest legenda biblijnego Hioba. To test, który brzmi: ile jesteś w stanie znieść, na ile jesteś gotowy zaufać sile, z którą pragniesz wejść w komitywę?

Po czwarte, zapewne okaże się, że przewidywany przez nas do tego eksperymentu czas jest niewystarczający. Innymi słowy można powiedzieć, że trzeba będzie zdecydowanie dłużej pomęczyć się i powalczyć, niż przewidywaliśmy na początku.

Po piąte, próby, którym będziemy poddawani, najprawdopodobniej będą zdecydowanie trudniejsze i bardziej bolesne niż te, które mogliśmy sobie wyobrazić, ustawiając się do startu w tym biegu. Będzie niewątpliwie ciężiej, niż to przewidywaliśmy.

Po szóste, zdarzenia, które będą miały miejsce, najprawdopodobniej zaangażują do uczestnictwa innych ludzi, którzy nie będą ani rozumieli naszej sytuacji, ani jej popierali. Mało tego, może się okazać, że ci ludzie zaczną z nami walczyć w imię swoich własnych interesów i w imię własnych wyobrażeń o sprawiedliwości. Może się okazać, że

będą nas oskarżali widząc w naszym zachowaniu działania niegodne, nierozumne i niejasne.

Po siódme, na początku droga jest w miarę łatwa i czujemy naszego wewnętrznego przewodnika dosyć wyraźnie. Ale przyjdą takie momenty, kiedy będzie on nieobecny. Mało tego, może się wydarzyć, i najprawdopodobniej się wydarzy tak, że zniknie on na dłużej i to w sytuacji, kiedy będziemy najbardziej go potrzebowali. Będziemy prosili i błagali, by się odezwał, by wskazał nam drogę, a on będzie milczał jak zakłęty. To będzie kolejna próba.

Można by jeszcze dopisać kilka scenariuszy, ale te powinny wystarczyć, by uświadomić każdemu, kto zechce się zmierzyć z tematem życia w wolności, według samego siebie. Można by się pokusić o stwierdzenie, że ta droga, to pokonywanie przeszkód będą uświęcone prawami Murphy'ego skazującymi każdą potencjalną inicjatywę na porażkę. I powiem więcej, one właśnie wtedy działają najlepiej.

Co robić zatem, by osiągnąć cel, jakim jest uwolnienie się od zależności życia według praw ustanowionych przez sztuczny świat? Nie poddawać się. To tak pięknie brzmi, jest takie wzniosłe i heroiczne, a jednocześnie tak trudne do zastosowania w praktyce. Ale nie ma rady. Albo wygramy, albo przegramy. Do nas należy wybór. Jedno, co ciśnie mi się na usta, to to, że nie możemy przegrać. Lepiej więc powiedzieć: albo wygramy, albo polegniemy. Albo znajdziemy drogę, albo ją zbudujemy. Spal za sobą mosty, odrzuć lęk. Kłopoty i trudności mają zawsze przejściowy charakter. Po burzy zawsze wychodzi słońce. Jeśli kiedykolwiek zdecydujesz się wejść na tę drogę, pamiętaj, że Bóg nigdy nie daje nam zadań ponad nasze możliwości. Nie lękaj się. Przypomnij sobie cytat: „choćbym szedł ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną”. Jesteśmy tu po to, by wygrać z życiem, by pokonać siebie, pokonać swoje słabości. Jesteśmy tu po to, by zwyciężyć. Nie poddawaj się, nawet jeśli cały świat stanąłby

naprzeciwko ciebie i śmiał się prosto w oczy. To próba, to test, to iluzja. Pamiętaj o tym, że prawdziwe życie zacznie się zaraz po tym, jak przejdziesz zwycięsko ostatnią próbę. Nieważne, ile ich będzie, nie rezygnuj. Bądź jednym z tych, o których świat nigdy nie zapomni. Bądź zwycięzcą, do końca.

Nota od autora

Droga Czytelniczko! Drogi Czytelniku!

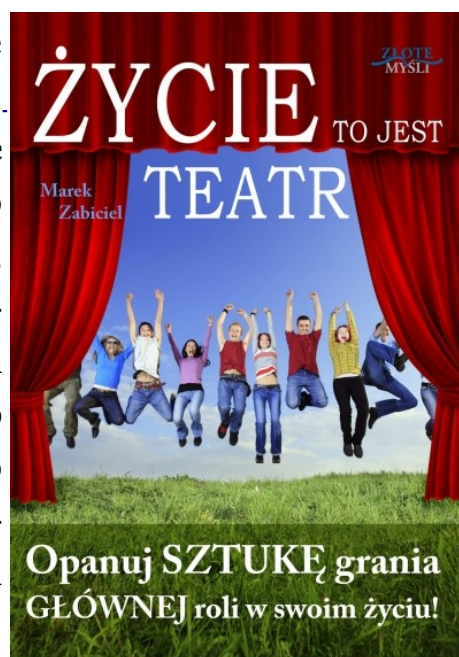
Jeśli spodoba Ci się to, co tu przeczytałeś, gorąco zachęcam Cię do zapoznania się z innymi moimi książkami. Pierwsza z nich, *Jak wygrać i zadziwić świat – Zakładam firmę, czyli Program Sukcesu Firmy część I*, to poradnik na temat tego, jak uruchomić własną firmę, unikając jednocześnie poważnych i rażących błędów. Poradnik ten, jak zresztą wszystkie moje książki, jest wynikiem mojego osobistego doświadczenia i praktyki. Program Sukcesu Firmy wskaże Ci kierunki rozważań o tym, jak poprowadzić własne przedsięwzięcie, by osiągnąć sukces, dając jednocześnie sporo praktycznych rozwiązań i konstruktywnych podpowiedzi.

Druga moja książka, *Sekret Rafaela, czyli jak osiągnąłem życiowy sukces*, to opowieść o człowieku, który idąc przez życie, tka jego wzór, poszukując szczęścia, spełnienia i sukcesu we wszystkich możliwych i ważnych dla niego aspektach.

Kolejno trzecia i czwarta z moich książek to *Podróż do sukcesu, czyli Osobisty Program Sukcesu* oraz *I ty możesz mieć wszystko, czyli Osobisty Program Sukcesu*. Te dwie pozycje, stanowiące integralną całość, pomagają w zrozumieniu, co jest istotne, aby osiągnąć życiową harmonię i równowagę, która w moim przekonaniu jest podstawą do tego, by być szczęśliwym i odnieść sukces, grając w grę, która nazywa się życie.

Nota od autora

Szczególnie gorąco pragnę zachęcić Cię do zapoznania się z publikacją [Życie to jest teatr](#), zwłaszcza jeżeli czujesz, że Twoje życie nie wygląda tak jak masz to napisane w swoim scenariuszu i czujesz, że musisz coś w nim skorygować. Książka ta w niezwykle sposób poprowadzi Cię przez cały proces pisania właściwego scenariusza, który sprawdzi się tylko w Twoim przypadku. Dzięki niej to właśnie TY zasiądziesz na krześle z napisem „reżyser”.



Więcej informacji znajdziesz na redagowanej przeze mnie stronie www.sukces.psychotronika.pl.

Zapraszam i życzę Ci Sukcesów!
Marek Zabiciel